

KAROL MIARKA

GÓRKA KLEMENSOWA

Powieść z czasów zaprowadzenia
chrześcijaństwa na Śląsku

Oparta na podaniach ludu



1924

DRUKIEM I NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ
K. MIARKI W MIKOŁOWIE

06213

Górka Klemensowa.

Powieść z czasów zaprowadzenia chrześcijaństwa
na Śląsku,

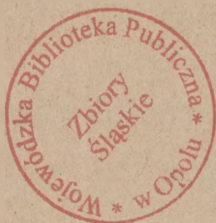
oparta na podaniach ludu.

Napisał

Karol Miarka.



Mikołów. Woj. Śl.
Drukiem Karola Miarki, Sp. Wyd. z ogr. por.



21283.5

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. DI nr 251/2015/2651



WSTĘP.

W części Górnego Śląska, najbardziej ku Krakowu wysuniętej, leży miasteczko Bieruń, a obok niego wioska Łędziny, przy których położony jest pagórek, od ludu „Górką Klemensową“ zwany. Na tej górze wznosi się kościół św. Klemensa, który niejako panuje nad okolicą, bo już z daleka widać wieżę tego kościoła.

Jeśli byś przypadkiem kochany czytelniku, w tej stronie podróżował, wtedy udaj się na górkę Klemensową, a małe zboczenie wynagrodzi ci rozległy i czarujący widok. Na północ leży wioska Łędziny, z kościołem św. Anny, dokąd prowadzi ścieżka między lipami. Na wschód sięga twe oko daleko w Polskę, a na południe widzisz kościół Bieruński, do którego przytulają się domy miasteczka, jak kurczęta do swej matki; w dali zaś wznosi się góry karpackie. Na zachód wzgórze mikolowskie zamykają widnokrąg, pomiędzy

niemi i górka rozciągają się obszerne lasy. Ze wszystkich stron łatwy do Górki Klemensowej przystęp, ale nie tak to było przed ośmiu wiekami r. 999 po Chr., kiedy się nasza powieść zaczyna. Wtedy pagórek ten otoczony był zewsząd wielkimi jeziorami, tak, że tylko na łodziach do tej góry zbliżyć się mogli. Dziś na miejscu tych jezior widzisz bujne łąki, a tylko wązka rzeczka, niejako przypomnienie tych wód, wije się ku Bieruniowi.

Pagórek ten wówczas nosił nazwę: Górki Piorunowej, która lud okoliczny za bardzo świętą uznawał, bo na jej szczycie stały posagi dwóch bogów, którym z daleka i szeroka lud składał ofiary. W tej bowiem okolicy jeszcze wtenczas panowało bałwochwalstwo. — Prawda, że już od dawna, a mianowicie od czasu apostołowania śś. Cyryla i Metodego około 870 r. chrześcijaństwo w tej stronie Polski szerzyć się poczynąło, ale dopiero r. 966, gdy cała Polska przyjęła chrzest św., wtedy i nasza kraina należąc do Polski, przyjęła naukę Chrystusa; mimo to jednak w wielu miejscach, mianowicie pomiędzy górami, lasami, jeziorami trwało jeszcze dość długo pogaństwo, zanim zupełnie wykorzeniem zostało.

Tak też i w okolicy Górki Klemensowej trwało jeszcze, a nawet dość bujnie pogaństwo kwitnęło. Było tu niejako gniazdo, ognisko religii pogańskiej na całą okolice. Przecież wejrzał Bóg łaskawem okiem i na ten zakątek, i wzbudził męża, który zwalczył pogaństwo a zaszczerpił naukę Chrystusa.

I ta to ostatnia walka bałwochwalstwa z chrześcijaństwem w naszej ojczyźnie, to ostateczne utwierdzenie nauki Chrystusa będzie główną treścią niniejszej powieści. Posłuchaj jej Polaku Śląski, bo ona jest odgłosem dawnych czasów, tych czasów, gdy kraina nasza stanowiąc jedność z Polską, zbawienną nauką zajaśniała. — Nie gardź tą skromną moją ofiarą, którą z ust ludu górnośląskiego zebrałem. — Poznawajmy dzieje naszej przeszłości, bo to jest naszym świętym obowiązkiem.

I.

Klemen

Było to roku 999 dnia 23 kwietnia, gdy w mieście Magdeburgu, które dziś w Saksonii leży, odbywała się wielka uroczystość. Trzeba zaś wiedzieć, że miasto to dawniej założyli

Słowianie i nazwali Dziewiniek, któremu Niemcy dali nazwę Magdeburg. W tym mieście założył cesarz niemiecki Oton I-szy biskupstwo, które głównie miało na celu nawracanie Słowian, i stąd nieomal całą północną Słowiańszczyznę uważano za dyecezyę magdeburską. I tak jeszcze przed 965 r. starali się owi biskupi zaprowadzić chrześcijaństwo w Polsce. Ponieważ jednak z chrześcijaństwem wydzierano wolność ludom słowiańskim, nie zapuściło ono trwałych korzeni.

Otóż tedy w tym Dziewinie, który już wtenczas był zniemczonym, odbywała się dnia 23 kwietnia roku 999 w kościele katedralnym podwójna uroczystość. Raz, że obchodzono pamiątkę św. Wojciecha, który przed dwoma laty nawracając Prusaków, śmierć męczeńską poniósł, a po drugie, że w dniu tym miał nowo wyświęcony kapłan odprawić pierwszy raz ofiarę najświętszą. Oprócz tego i cesarz Oton III znajdował się wtenczas w Dziewinie i brał także udział w uroczystości.

Kościół był wspaniale na tę uroczystość przyozdobiony. Po lewej stronie ołtarza wznosił się tron cesarski, a po prawej tron dla arcybiskupa. Długi czas klęczał cesarz wraz ze swym dworem przed ołtarzem i dopiero

gdy się kazanie zacząć miało, usiadł na tronie.

Kaznodzieja mówił o nieskończonej dobroci i Opatrzności Boskiej, której drogi są niezbadane i cudowne. Treści do kazania dostarczyło mu życie świętego Wojciecha, a potem i życie młodego kapłana, który miał pierwszy raz świętą ofiarę sprawować. Był zaś tym kapłanem Klemens, miłowany serdecznie od cesarza, arcybiskupa i od wszystkich, którzy go znali.

— Bóg — mówił kaznodzieja przy końcu kazania — młodzieńca tego wyrwał z rąk pogańskich, gdy był jeszcze dziecięciem, a później za sprawą św. Wojciecha, którego pamiętkę dziś sławimy, oswobodził go z rąk zbójców. Mąż ten święty czuwał początkowo nad tem dziecięciem, a później polecił je opiece arcybiskupa i cesarza, za których staraniem mógł się doskonalić w naukach, tak, że nareszcie dostąpił stopnia godności kapłańskiej. Któż przewidywał w dziecięciu pogańskiem — mówił dalej kaznodzieja — że wyrósłszy, zostanie sługą ołtarza? O Opatrzności Boska, kłaniajmy się Tobie, oddawajmy sercem i ustami cześć powinna, a osobliwie ty Klemensie przy najświętszej ofierze dzisiejszej dziękuj Bogu z całego serca,

bo wielka jest dobroć Jego, a miłosierdzie Jego trwa na wieki wieków. Amen.

Oczy wszystkich słuchaczów zwróciły się przy ostatnich słowach na młodzieńca, który u nóg arcybiskupa klęczał, a którego kaznodzieja Klemensem mianował. Pobożny młodzieniec, podobny z postawy do anioła, zwrabając oczy łzami napelnione ku niebu, z jak największą pokorą zbliżył się po ukończeniu kazania do ołtarza, gdzie w orszaku kapłanów dopełnił ofiary Mszy św., po której ukończeniu cisnął się lud zgromadzony, aby odebrać błogosławieństwo z rąk Klemensa. Sam cesarz przykleknął na stopniach ołtarza a młody kapłan z rozczuleniem kładł ręce na jego czoło.

Skończyło się wreszcie nabożeństwo. Wieczorem cesarz z arcybiskupem naradzili się, jakby można przyjąć Klemensowi w pomoc. Stało na tem, że zostawia jego woli, jaki los sobie obierze. Zawołano tedy Klemensa, a arcybiskup w te do niego odezwał się słowa: — Mówiliśmy kochany Klemensie o twojej przyszłości. Najjaśniejszy cesarz chce cię na dwór swój powołać i godnością nadwornego kapelana ozdobić. Rozległe miałbyś pole do działania duchownego. Ja zaś pragnąłbym cię mieć przy moim boku, jako

sekretarza. Namysł się więc dobrze i powiedz, które zatrudnienie będzie ci milszem.

Głęboko wzruszony Klemens dziękował najprzód ze łzami w oczach za doznane dobrodziejstwa, a następnie tak się odezwał: — Pragnę życie moje poświęcić na chwałę Bożą i pożytek ludzi. Przyjemnie by mi było zostawać przy was szlachetni dobroczyńcy, ale serce moje w inne rwie się strony. Pochodzę, jak wam wiadomo, z rodziny bałwochwalskiej. Otóż pragnąłbym najprzód zwiedzić kraj mój rodzinny, odszukać rodziców i krewnych. Ach! może oni jeszcze dotąd trwają w ciemnościach pogaństwa! więc chciałbym ich oświecić w wierze chrześcijańskiej. Wiem o tem, że rodzice moi i naród, do którego należę, są pochodzenia słowiańskiego. Wybawiciel mój św. Wojciech, który pewien czas się mną opiekował, zanim mnie do Dzewinia oddał, nieraz mi powtarzał, że rodzice moi mieszkają w Polsce i że jeszcze wówczas okolica ta, z której pochodzę, była pogańską. Tu w Dzewinie pznałem jednego z mych współuczni Jerzego z Wielkopolski. Z tym gdy rozmawiałem przypomniiał mi się rodzinny mój język. Ten też mój rodak oznajmił mi, że miano-

wicie w dyecezyi smogorzewskiej *) panuje jeszcze tu i owdzie bałwochwalstwo. — A stamtąd pochodzę o ile wiem, z ust św. Wojciecha; tak bowiem mąż ten święty do mnie mawiał, że nad Odrą rodzice moi mieszkali. Podwójna tedy chęć mnie ożywia, aby odszukać moich rodziców, i pozyskać Bogu mych rodaków, trwających w bałwochwalstwie. Upraszam tedy o pozwolenie i błogosławieństwo ku temu przedsięwzięciu.

Słowa te głęboko wzruszyły cesarza i arcybiskupa. Patrzeli na Klemensa, jakoby na posłańca niebieskiego i zdało im się, że dziwna światłość twarz jego otacza.

Dość długo trwało milczenie, które pierwszy przerwał arcybiskup. Powstał on ze swego siedzenia a przycisnąwszy Klemensa do wzruszonego serca rzekł: — Synu drogi! któż się twemu świętemu celowi zdoła sprzeciwić. Oto masz moje zupełne zezwolenie, a błogosławieństwo naszego Zbawiciela, który powiedział do apostołów: — Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, niech zawsze będzie z tobą w imię Ojca, Syna i Ducha świętego.

— Amen — rzekł cesarz, pobożnie się żegnając — bynajmniej i ja twemu świętemu powołaniu sprzeciwiać się nie chcę, smuci

*) Dyeceza wrocławska jest tu nazwana Smogorzewska, ponieważ biskupi wrocławscy mieli w Smogorzewie dobra i tam często przebywali.

mnie tylko ta myśl, że może na wzór św. Wojciecha śmierć męczeńską poniesiesz.

— O jak byłbym szczęśliwym, gdybym mógł położyć mój żywot za Chrystusa — zawołał Klemens. Jeszcze większe wzruszenie ogarnęło cesarza i arcybiskupa. Po niejakiem czasie rzekł cesarz, że na drugi rok zamysła odprawić pielgrzymkę do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie, *) więc mógłby razem z nim w podróż się puścić. Klemens oświadczył, że i on pragnąłby odwiedzić grób swego wybawiciela, który tyle mu wyświadczył dobrego i który go przykładem swym, a mianowicie podczas ostatniej w Dziewinie bytności, zachęcił do nawracania pogan. ale dodał, że pragnie on jak najprędzej w podróż się puścić, bo ileż to w przeciągu roku nieochrzczonych umrzeć może, których by mógł nawrócić. Zgodzili się i na to cesarz wraz z arcybiskupem, a tak nazajutrz udał się Klemens w podróż.

I już dnia następnego spędził Klemens jak niegdyś patriarcha Jakób, noc pod gołem

*) Cesarz Oton III dopełnił swego przedsięwzięcia, gdyż roku 1000 na czele licznych biskupów i książąt pielgrzymował dalej niż sto mil do grobu św. Wojciecha, największą częścią pieszo, a ostatnie pięć mil boso. W Gnieźnie przyjmował go wspaniałe Bolesław Wielki. Oton III własną koronę na znak szacunku włożył królowi polskiemu na głowę.

niebem, daleko od Dziewinia. Rok przeminął, a o Klemensie tylko tyle było wiadomem, że przebywa w krainach słowiańskich nad Odrą.

II.

Bałwochwalstwo Słowian.

Wracamy teraz w okolice Górki Klemensowej, wtenczas Piorunową zwanej. Wprzód dy atoli wypada nam powiedzieć kilka słów o wierze dawnych Słowian.

Wogóle wiara naszych przodków słowiańskich mało jest znaną. Zgadzają się jednakże wszyscy dawni pisarze, że Słowianie wierzyli w jednego Boga, od którego wywodzili początek wszystkich stworzeń, a mianowicie niższych bóstw, które go w rządach świata zastępowały. Starożytny kronikarz, Helmold, tak pisze o tym Bogu: — Między mnóstwem bogów, którym Słowianie opiekę nad polami i gajami, żałobę i pociechę przypisują, wierzą także w jednego Boga, w niebie i na ziemi władającego, wszechmogącego, tylko niebieskimi rządami się zajmującego. Inni bogowie, pochodzący z krwi jego, podzieliwszy rzady świata między siebie, są mu posłuszni i każdy z nich o tyle jest przedniejszym, o ile jest bliższym onemu

bogów. — Czczono zatem najwyższe bóstwo w różnych przejawach, a widząc niepojętą moc, rządzącą na niebie, na ziemi zajmującą się losami ludzkimi, a nareszcie ożywiająca wszystko stworzenie, uosobili ją Słowianie w trzech głównie bóstwach, którymi byli Piorun, Radegast i Żywie.

Piorun czyli Perun, podług wiary słowiańskiej był bogiem nieba, a zatem najwyższym pomiędzy bogami i panami stworzenia. Jako władcy nieba służyły mu pioruny i błyskawice, i dla tego jest on głównie bogiem ognia i światła niebieskiego. Czczono go najwięcej na górach i palono na jego cześć nieustanny ogień, żniczem zwany. Tegoż bożka czcili Polacy bod imieniem Jesse, t. j. jasny, a Ślązacy zwali go Sabot, i stąd nazwa góry Sobótki pod Wrocławiem.

Piorun był panem nieba i ziemi, oraz najwyższym rządcą spraw ludzkich, opiekunem własności, rolnictwa, wiadomości i wróżby, pokoju i wojny. Był też bogiem sprawiedliwości i w tem znaczeniu nosił nazwę Prowena.

Radegast czyli Radogost był bogiem zajmującym się sprawami ludzi, więc opiekunem szczęśliwego społeczeńskiego pożycia, a

dla tego też osobliwie bogiem gościnności, która zawsze u Słowian zachowywano i jako święta powinność przestrzegano. Był on tedy szczególnie bogiem dobroczynnym i stąd jego przydomek u Morawców: Dobropan. Nosił także nazwę Hlawaradce t. j. główny doradca, Rozwodycz t. j. rozstrzygacz sporów i Bożak czyli Bożycz t. j. bóg domowego szczęścia. Mianowicie w Retrze na wyspie Rugii oddawano cześć temu bóstwu. Posąg jego był złoty, skronie jego otaczała korona, ptak na głowie jego siedzący oznaczał jego mądrość wieszczbiarską, oblicze Radegasta było okrągłe i majestatyczne.

Żywie, żywa jest boginia życia i uosobieniem siły żywotnej, która daje, utrzymuje i rozwija życie, a potem je znowu gubi i niszczy. Było to bóstwo czczone także pod nazwami Ziewani, Dziewanny, Siowy, Krasopani czyli Łady, Marzanny, a przynajmniej te bóstwa wiele miały z Żywą podobieństwa.

Później wierzyli także Słowianie w Białoboga i Czernoboga. Pierwszy był bogiem dobrego a drugi złego. Jak same nazwiska tych bóstw wskazują, wyobrażali sobie nasi przodkowie białego boga pod postacią światła, a czarnego pod postacią ciemności.

Następnie wszystkie bogi zostały po-

dzielone na dobrych czyli białych, i czarnych czyli złych. Na czele dobrych bogów stał Światowit.^{*)} Oprócz tego mieli Słowianie niezliczone mnóstwo niższych bożków, które różne u różnych plemion słowiańskich nosiły nazwy. Pola, łąki, lasy, stawy, rzeki, domy, każda rodzina, rolnictwo, polowanie, rybactwo, nawet zwierzęta, rośliny, ogień i woda miały swoich bożków, którym w pewnych czasach ofiary składano. Tak np. Pogoda była bożkiem pięknego czasu, a Niegoda bożyszczem deszczowego i burzliwego czasu; Pogwizd, bogiem wiatrów; Nija, bogini dusz zmarłych, które pod swoją opiekę brała i do lepszego świata przeprowadzała. Czcili ją szczególnie Polacy i Ślązacy, a w mieście Gnieźnie miała sławną świątynię. Dziewilija, bogini miłości, czczona mianowicie w Polsce i na Śląsku. Ćmok był zapewne bożkiem ciemności.

III.

Chatka pod górka Piorunową.

Jesteśmy tedy przy górze Piorunowej i to właśnie w rok po zdarzeniu, na początku

^{*)} Wit znaczy tyle co „pan”; Światowit znaczy więc „pan świata”.

opisanem. Pod tą górka mieszkał wtenczas rybak Lepa. Wstapmy na chwilę do jego chatki i przypatrzmy się jego mieszkaniu. Jest to izba 20 łokci długa i tyleż szeroka. Ściany z gliny i mcha lepione, mają zamiast okien tylko dwie okrągłe dziury, które cienkimi łaskami przegrodzone, na wieczór sianiem bywają zatykane. Wśród izby stoi wielkie ognisko, na którym potężne odłamy drzewa goreją i izbę oświecają. Nad ogniskiem znajduje się otwór, którym dym wychodzi. W pobliżu ognia znajdują się dwa siedzenia dla małżonków. Przy jednej ścianie spoczywają dwa woły i krowa, przy drugiej nagromadzona słoma, trzema wilczymi skórąmi przykryta, służy za łoże, nad którym wisi na kołku krzywy miecz, łuk z młodego dąbka i kilka strzał w kołczanie. Rozwieszona sieć oznajmiała, że Lepa zajmował się rybołówstwem.

— Co za okropny wieczór! Pogwizd rozniewany! łamie gałęzie i drzewa, złóżmy mu czemprędzej obiatę,*) ażeby się uspokoił i był dla nas łaskawym. — Te słowa mówił Lepa do swej żony Wanki, która między dwoma kamieniami jęczmień tłukła. Posłuszna

*) Obiata były to ofiary składane bogom.

Wanka powstała poszła do beczki, która stała w kącie izby, nabrała z niej w róg piwa i podała go mężowi. Ten wyszedł z domu i po trzykroć ulewał piwa na wiatr, modląc się do bogów: — Świście, Poświście, mijajcie łaskawie mój dom i moje pola. — Po skończonej ofierze powrócił znowu do izby. Liczy on około 60 lat, ale postać jego silna i skutkiem zahartowanego życia nieugięta, oraz bujne włosy, które szyją i część plec zakrywają, twarz czerstwa i zdrowa, długa i gęsta broda wskazują, jakby o wiele był młodszym.

Przyszedłszy do izby, odezwał się: — Wiatr rzuca iskry na dach, pewnie Dziwlik nie dostał ofiary — (Diblik czyli Dziwlik bōżek ognia.)

— Weź świeży podplomyk, który wisi w dymniku i złoż na ofiarę Dziwlikowi — odrzekła Wanka. Lepa ofiarował, a po skończeniu obrzędu wziął się do naprawiania sieci; Wanka tymczasem wsypała utłuczony jęczmień do wielkiego garnka. Wiatr zaś zamiast się uspokoić tem więcej szalał, tak, że trzeba się było lękać obalenia chaty.

Gdy już Wanka skończyła swą pracę, wtedy zbliżyła się do męża, który rozwieszał sporządzone sieci i rzekła: — Idź miły małżonku do jezora i wyciągnij pletwę z wody, i schowaj wiosła, aby ci który z czarnych

bogów psoty nie wyrzadził. Już i tak dzisiaj nie będziesz nikogo przewoził, bo niepodobna, aby Borzak żądał, żebyś go przewiózł na Orłowa górę.

— Dla Borzaka wszystko trzeba czynić — odrzekł mąż — on jest naszym kapłanem, ojcem, doradcą, dobroczyńcą, objawia nam wolę bogów, więc i my, co możemy, powinniśmy dla niego czynić. I choćby też pioruny biły, kamienie z nieba spadały, to na jego skinienie udam się, gdziekolwiek zechce. Jego wola jest mi rozkazem, bo któż się temu ulubieńcowi bogów zdoła sprzeciwić?

— Ach ja nieszczęśliwa — westchnęła Wanka, składając ręce jakby do modlitwy — cóż ja pocznę, jeżeli ćmok lub inny ze złych bogów zanurzy ci łódkę lub co złego uczyni.

— Dziwię się twojej bojaźni — odrzekł Lepa — bo już czterdzieści lat przewożę Borzaka na Orłowa górkę, a nieraz już okropniejsze panowały burze, jednak nic mi się złego nie stało. I nie mogło się nic złego stać, gdyż Borzak był przy mnie, a gdzie on się znajduje, tam nieszczęścia i postrachy na jedno jego skinienie nikną.

Chciała coś odpowiedzieć Wanka, ale zamarły jej słowa w ustach, gdy ujrzała w progu izby jakąś wysoką, wielką, zakaptu-

rzoną osobę w białem odzieniu. — Bogowie z wami — rzecze zakapturzona postać. — Nasz Bóg Sabot do was mnie posyła.

Na te słowa upadła Wanka na kolana. a Lepa uniżony dotyka się czerwonego obrębu białej szaty, którą kładzie pokornie na wierzch swojej głowy, wierząc, że takim sposobem błogosławieństwo bogów na siebie ściąga.

Ową postacią był Borzak, kapłan pogański na Górze Piorunowej mieszkający Oddalił się wkrótce z Lepą do jeziora, gdzie przybywszy wsiedli do łodzi, i mimo rozhukanych bałwanów puścili się ku Orłowej Górze.

IV.

Narada Kapłanów.

Jak już wyżej powiedziano, pod górką Piorunową rozciągało się wielkie jezioro blisko milę szerokie, które w środku tworzyło wyspę, Orłową zwaną. Wyspa ta na 2000 kroków szeroka, pokryta była lasem. Przystęp do niej był nader trudny, gdyż zewsząd otaczała ją trzcina, a choćby kto i przebył tę zaporę to napotkał daleko większą, t. j. bagna. Łodzią nie było można po tem bagnie płynąć, gdyż było zarośnięte różnemi

wierzbami i krzewiną, a nie było można chodzić po tych krzakach, bo dna pod niemi nie było, tylko jak kozuch na błocie leżały. Daremne były zabiegi myśliwców przedrzeć się do tej wyspy. Tylko w zimie był wolny przystęp. Lud zaś wierzył, że bogowie zakazali udawać się na tę wyspę, więc każdego śmiałka, któryby się tam chciał dostać, śmiercią by ukarali.

Lepa jednak prosto ku tej wyspie płynął, choć mu zęby ze strachu dzwoniły. Zaiste okropna była ta jazda. Przenikliwa naokół panowała ciemność, wiatr wściekły szumiał między sitowiem i trzcina, a raz po raz rozlegał się wrzask spłoszonego ptastwa. Już może pół godziny pracował Lepa ze wszystkich sił wiosłem, gdy nagle Borzak kazał skrócić na prawo. Lepa obrócił się ku tej stronie i spostrzegł z daleka światelko, które niepewnym mrugało płomykiem. Dążył ku niemu Lepa, aż dojechał do trzciny a w tem traciło czołno o coś twardego tak, że Lepa ledwie się na nogach utrzymał.

— Czekał tu na mnie, a nie poważ się iść za mną, jeżeli się zemsty bogów boisz. — To mówiąc Borzak wyprostował się i głosem swoim zahuczał: — pubu! pubu!

W kilka chwil zbliżyło się światło,

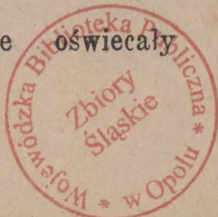
a wtedy poznał Lepa, że to był człowiek białym płaszczem odziany, który w ręku dzierżąc potężną pochodnię, zwolna kroczył na dwóch grubych drągach, które na wodzie leżały.

Borzak wyszedł z łodzi i szedł za owym człowiekiem po drągach ku wyspie. Zaś Lepa przywiązał czołno i usiadł.

Obie postacie posuwały się zwolna po drągach, aż też dosięgły wyspy, a wkrótce stanęły na Górze Orłowej. Wznosiło się tam kilka starych dębów. Gdy przy jednym z nich stanęli, wtedy uderzył przewodnik o pień trzy razy kijem, a wkrótce otworzyły się drzwi mchem zakryte. Po kilku stopniach zeszli do dość obszernej jaskini, która była oświetlona smolnemi pochodniami.

W jaskini pod dębem byli zgromadzeni mężowie, ubrani w białe szaty, którzy ujrzawszy Borzaka, powstali ze swych siedzeń, pokłonili się nisko wołając: — Ślawa wielkiemu Borzakowi. — Ten skinąwszy, aby usiedli, postępował do krzesła, które pokryte czerwonym płótnem, stało na wywyższonem miejscu. Znajdujemy się więc w zgromadzeniu pogańskich kapłanów, między którymi Borzak miał pierwszeństwo.

Cztery smolne pochodnie oświecały



ciemne ściany, wyłożone czworobocznymi kamieniami, a dwudziestu kapłanów siedziało naokół. Ich brody długie i po większej części jak mleko białe, płaszcze i szaty także białe, a czarne pasy, do tego ich lic powaga i dostojność, czapki na głowach dziwnego kształtu, odludne miejsce, wreszcie tajemniczość, to wszystko sprawiało niezwykle wrażenie. Tem więcej zaś uwagi godne było to zgromadzenie, gdy się dowiesz czytelniku, że tu zebrali się kapłani całej Słowiańszczyzny. Tu siedział stroskany starzec z Wielkopolski od Gniezna, oplakując upadek bogów, których niedawno zburzył Miecysław (r. 965), tam z lesistej ziemi Mazowsza, owdzie od granic Rusi naddnieprzańskiej, a także z Czech, z Morawy widziałbyś kapłanów. Nie brakowało też wysłańców z nad Łaby od Słowian, którzy już ginęli ulegając teutońskiej przemocy. Nawet znajdował się tam kapłan ze sławnej na całą Słowiańszczyznę Świątyni Światowida w Arkonie na wyspie Rugii. Choć z różnych stron przybyli, jednak jedna myśl ich ożywiała, aby utrzymać wiarę ojców. Aczkolwiek już wtenczas we wszystkich słowiańskich krajach chrześcijaństwo się rozszerzyło, jednak jeszcze we wielu miejscach bałwochwalstwo się gnie-

ździło. Potrzeba tedy zbliżyła do siebie pogańskich kapłanów. Zbierali się więc, aby wspólnie obradować nad środkami zachowania bałwochwalstwa i przywrócenia mu dawnej świetności.

Po krótkiem milczeniu podniósł się Borzak, książę kapłanów. Jego jak śnieg biała szata była ozdobiona białym rąbkiem. Takież pas otaczał jego biodra, w środku którego błyszczał złoty zamek, wysadzany drogimi kamieniami. Rzuciwszy okiem po zgromadzeniu w te odezwał się słowa:

— Bracia! zebraliśmy się tutaj, aby wspólnie krzepić w sobie odwagę i obmyślać środki do utrzymania naszej wiary. Dziękuję wam za liczne zgromadzenie się, wam zwłaszcza z dalekich stron, którzy nie obawiając się trudów, tu przybyliście. Zanim zdacie sprawę z waszych zabiegów o utrzymanie i rozszerzenie czci bogów, chcę wprzód kilku słowy przypomnieć cel naszego związku. Już czterdzieści lat mija, jak nas kilku kapłanów tu na tej Orłowej górze poślubiło sobie ze wszystkich sił pracować nad utrzymaniem czci bogów. Wezwaliśmy na pomoc najwyższego Jessy, a potem zaczęliśmy pracować. I dzięki przesławnym naszym

bogom, starania nasze nie są daremne. Związek nasz upewnia się, a wzajemnie ostrzegamy się i wspomagamy. Ale cóż nasze zabiegi pomagają? owa nowa wiara szerzy się naokół. Już w Polsce, naszej ojczyźnie, wyrzekli się książęta wiary ojców, a król nasz zaciętym jest nieprzyjacielem czci bogów. Już i w naszej nadodrzańskiej krainie nasza wiara słabnie. Oto w Smogorzowie osiadł najstarszy kapłan, a stamtąd szerzy się nowa nauka naokół. Słyszę, że tu nawet w bliskości jacyś opowiadacze uwodzą lud od bogów. Bracia! grozi nam zguba. Już nasze bóżnice, nasze święte gaje coraz mniejszą widzą liczbę ofiarujących, codzień zmniejsza się poczet czcicieli bogów. Bracia! wyteźmy ostatnie siły, i nie dozwólmy upadku naszych bogów. Z upadkiem ich stracimy my i lud wolność. Wicie przecież, co się dzieje z naszymi braćmi nad Łabą, których tam w niewolników zamieniają, gdy przyjmą nową naukę. I takież to ta nowa wiara, która wydiera wolność? Jeżeli naród od bogów odpadnie, musi i w niewolę wpaść. I cóż to za wiara, która nakazuje znosić cierpienia i wzgardę, mówiąc: jeżeli cię kto uderzy w prawe lice podaj mu i lewe; lub zakazuje posiadanie bo-

gactw, i chwali biedaków, którzy jak niewolnicy nic własnego nie posiadają. A choćby ta nowa wiara była najlepszą, to nam kapłanom należy stać mężnie w obronie czci bogów, i zginać raczej, jak ich porzucać. A przytem pomyślmy, co się stanie z nami, gdy lud porzuci starą wiarę, a przyjmie nową. Stracimy cześć, poważanie a żyć będziemy w pogardzie, poniżeniu. Wszystko tedy nas zachęcać powinno do gorliwej pracy nad utrzymaniem ludu w wierze ojców. Teraz opowiedzcie bracia po kolei, co każdy z was uczynił, aby wykorzenić wiarę chrześcijańską, a naszą umocnić. Zdajcie też rachunek ze skarbów, które ze wspólnego majątku wzięliście, aby tem skuteczniej działać.

Borzak usiadł, a po chwili milczenia powstał najbliżej niego siedzący kapłan, imieniem Urcz z Jabłonkowa i zwróciwszy się do Borzaka, rzekł:

— Sława bogom, sława tobie wielki Borzaku. Tyś podporą naszej wiary, naszego szczęścia, przy tobie stać będziemy zawsze. W moim obwodzie jeszcze wszystek lud jest wierny bogom, choć naokół chrześcijaństwo panuje. Ale nie wiem, czy to długo potrwa, zwłaszcza, że na Węgrzech

król Stefan*) wyniszcza nasza wiarę, a nowa zaprowadza. Ze skarbu wspólnego nic nie wydałem, a jeszcze nawet dwie kule złota z ofiar zebrałem, które do skarbnicy oddaję. — To mówiąc Urcz, złożył dwie błyszczące kule u nóg Borzaka.

— Ulgę sprawujesz mojemu sercu, bracie i sługo wierny — rzekł Borzak — nie tem złotem, ale błogą wiadomością, że jeszcze kwitnie wiara w twoim obwodzie.

Zabrał następnie głos osiwiwały Trojar, przybyły od Ołomuńca z Moraw: — Bracia, w mojej osobie oglądacie nędznego, który jak zbieg i zbrodniarz ledwie z życiem uszedł ze swojej ojczyzny. Borzak wielki wie, że już od lat 50 walczę przeciw nieprzyjaciółom bogów naszych. Już sto lat temu, jak dwaj chrześcijańscy wysłańcy, Cyryl i Strachota w niwecz obrócili nasza wiarę. I teraz tak daleko przyszło, że nikt w Morawie nie poważy się jawnie oddawać czci bogom, a gdy się chrześcijanie dowiedzieli, że zachęcałem

*) Roku 955 dał się książę węgierski Gejza z żoną swoją Saroltą ochrzcić. Jego syn Szczepan św., który 40 lat panował, najgorliwiej starał się o rozszerzenie i umocnienie wiary chrześcijańskiej w narodzie swoim. Dla tego od Ojca św. otrzymał tytuł króla apostolskiego, i stąd też cesarzowie austriaccy jako królowie węgierscy do dziś dnia zowią się „apostolskimi.“

lud, aby został bogom wierny wtedy życie moje było w niebezpieczeństwie. Z największą trudnością uszedłem. Ale gdzież teraz przytułek znajdę?

— Zostań u mnie bracie wierny — rzekł Borzak.

— Dzięki ci za to — odpowiada Trojar, — chociaż już osiwiąłem, jednak serce moje bardziej niż niegdyś nienawidzi tej nowej wiary, najwierniej służę rzeczy naszej.

Po krótkim milczeniu powstał Rzesław, pochodzący od granic czeskich: — I ja niestety tylko nieprzyjemne nowiny uszom waszym zwiastować muszę. W sąsiedztwie mojem w Czechach już od stu lat walczy chrześcijaństwo z naszą wiara. Książęta czescy wytępiają wszędzie cześć bogów. Wprawdzie nieraz w obronie ich powstawali wierni czciciele, ale za to tem większe ponosili klęski. Wiecie dobrze, że stamtąd i w polskie granice rozszerzyła się nowa wiara. I w mojej stronie bogi znieważone, wiara nasza upada.

Przemawiali potem jeszcze różni kapłani, a każdy coraz smutniejsze opowiadał nowiny, z których widać było, że pogaństwo miało się ku schyłkowi. Zabrał наконец głos Orszak z Ustronia, który tak zaczął:

— Wszystkie nasze wieści smutne, ale moja najsmutniejsza. Oto towarzysz Wrabna z Chełmka złamał przysięgę, stał się zdrajcą, i przystał do chrześcijan. Boga swojego, tak słynącego, przy zgromadzeniu wiernych sam potrzaskał i tajemnice nasze wydał.

Całe zgromadzenie kapłanów zerwało się z oburzeniem, a usta ich miały przekleństwa na przeniewiercę. Na to zagrział głos Borzaka:

— I jakżeż nie powstał lud przeciw temu wyrodkowi? A z was czy nikt nie przewidywał tej zdrady, aby ją wprzód we krwi odszczepieńca utopić. Lecz mów — dodał, zwracając swą mowę do Orszaka — jakim to się stało sposobem?

Zapytany tak dalej swą rzecz prowadził: — Razu pewnego Wrabna przy zwykłej ofierze na nowiu księżyca dla większego zysku namówił pewnego człowieka, aby udawał, że jest bardzo chorym. Był to wam dobrze znajomy Matek z Łąk, który już nieraz przez to udawanie choroby stał się przydatnym. Jakoż przy ofierze upadł Matek na ziemię, zaczął wykręcać członki, jęczeć, a przytem piana mu się z ust toczyła, i prosił jawnie Wrabnę, aby mu wyjednał zdrowie u swego boga. Lud zgromadzony

składał liczne ofiary na uzdrowienie chorego, bo narzekania jego były nieznośne. Wrabna po skończonej ofierze zwrócił się do Matka, który niezmiernie jęczał, i rozkazał mu wstać, oznajmując, że bóg ofiarami i modlitwą zjednany, wraca mu zdrowie. Matek tymczasem jeszcze bardziej jęczy, a nawet ryczy, rzuca się, przeklina i woła, że za swe oszukaństwo niezmierny ból cierpi. Daremnie Wrabna rozkazywał mu powstać, Matek wiał się, jak wał z bólu dzień i noc całą. Wrabna przeląkł się, nie wiedząc co czynić. Wtem na drugi dzień przy końcu ofiar, gdy się już lud miał rozchodzić, zbliża się jakiś cudzoziemiec, a słysząc narzekanie chorego, zapytał o przyczynę choroby. Matek wyznaje prawdę, że był najęty od Wrabny, aby udawał chorobę, która się potem zamieniła w rzeczywistość. Wtedy zapytał cudzoziemiec podniesionym głosem: — Uznajesz twoje przewinienie?

— Uznaję! uznaję! — woła Matek.

A cudzoziemiec: — Wiedz, nędzny człowiecze, żeś w mocy złego ducha. Lecz ja znam jednego Boga prawdziwego, który cię uzdrowi, jeżeli porzucisz tych niemych, nieżywych bogów, a uwierzysz w jednego Boga, żywego, który stworzył niebo i ziemię i któ-

ry przez Syna swego chce cię uszczęśliwić. Chcesz wierzyć w jednego Boga i Syna Jego Jezusa Chrystusa?

— Wierze w Boga twego i Jezusa Chrystusa Syna Jego! — A gdy to wymówił, choroba go opuściła, że powstał i całemu ludowi zgromadzonemu wszystkie skrytości naszej wiary objawił.

Cudzoziemiec, którego zowią Klemensem, polał go czarodziejską wodą. Potem i Wrabna i mnóstwo ludu porzuciło bogi, a Klemens polał głowy ich wodą, i krzyż nad głową uczynił i nadał im jakieś imiona. Sam Wrabna słynnego Boga zniszczył, a skarbnicę oddał Klemensowi, który skarby, jak gdyby to było błoto, rozdał ubogim. — Codziennie zgromadza się mnóstwo ludu na Chełmku do czarownika Klemensa, który ich naucza nowej wiary. Usłyszawszy tę wiadomość udałem się do Wrabny, aby go nawrócić, a przynajmniej skłonić do milczenia o naszych tajemnicach. Lecz wszystkie moje usiłowania a nawet przypomnienie przysięgi, były daremne, a Wrabna nareszcie mi tak powiedział: — W zaślepieniu mojem przysięgałem na bogi, których nie masz, teraz dopiero poznałem jednego, prawdziwego Boga, Stwórcę nieba i ziemi. Powinnością

moja jest wyprowadzać ludzi z błędu, aby wszyscy poznali i wielbili jednego Boga. — Nakoniec zaczął i mnie nawracać i bracia, przyznam się, że zdradliwe jego słowa zachwiały na kilka chwil moją stałość. Ale przewyciężyłem tę słabość i rzekłem do Wrabny, że śmierć go będzie czekać za złamaną przysięgę. Wicie, co mi na to odpowiedział? — oto: — oto że chętnie śmierć poniesie, aby otrzymał życie wieczne, chętnie krew przeleje, aby odpokutować za grzechy, których się dopuścił. — Trzeba zaś wam wiedzieć, że Wrabna zupełnie się zmienił, nosi liche szaty, pożywienie jego bardzo skromne, a często i dzień cały pości. Dziwnie jakoś ta nowa wiara zmienia ludzi. Otóż wam tedy donoszę tę wiadomość, abyście się mieli na baczności, aby snąć nasza sławna górką Piorunowa nie popadła w moc chrześcijan.

Wiadomość ta przeraziła wielce zgromadzonych kapłanów. Kilku jeszcze obecnych głos zabrało, a wszystkie ich wieści były niepomyślne i zwiastowały, że już wkrótce pogaństwo runie. Nie dziw też, że ten i ów pałał nienawiścią dla chrześcijaństwa. — Przecież nie wszyscy tam zgromadzeni byli tą nienawiścią przejęci. Wiadomo

dobrze, jak silnem jest nawyknienie, tak i owoczesnemu ludowi i kapłanom żal było porzucać dawne bogi. Wszystko co swoje, zawsze było i jest drogiem sercu ludzi. — Miedzy innymi kapłanami, którzy więcej w duchu łagodnym przemawiali, odznaczył się szczególnie Strzeżysław z Wielkopolski. Gdy powstał i łagodnym zwrokiem zatoczył naokół, wtedy wszyscy zwrócili się ku niemu. Była to szanowna postać. Siwa broda spływała na piersi, skroń jego otaczał wieniec ofiarny, a twarz jego tchnęła spokojem.

— O bracia — mówił on — posłuchajcie ostatniego kapłana z Wielkopolski a odłóżcie na bok wasnie i niepokoje. Widzicie we mnie kapłana, który niegdyś był pierwszym w Wielkopolsce. W Gnieźnie to i Kruświcy sprawowałem ofiary niejednokrotnie. Mój dziad znał jeszcze Piasta, którego potomkowie naszymi są dziś królami. Ja to bracia patrzałem na upadek naszych bogów. Widziałem, jak zwalono posąg Jessego, Niji, Dziewanny i jak ich zatopiono w świętem jeziorze przy Gnieźnie. Ale nie przeklinałem burzycieli, nie przeklinałem nowej wiary, płakałem tylko nad upadkiem bogów, jak płacze syn, gdy żegna na zawsze konającego ojca. Bracia! panowanie naszych bogów

sie skończyło, ów jeden Bóg nieba i ziemi, w którego i my wierzyliśmy, rozpoczął swe panowanie. Nasze bogi były bezsilne, cóż bowiem uczyniły, gdy zburzono ich posągi? Nic — słońce świeci jak dawniej i deszcz pada, jak niegdyś. Lecz nie chcę ja was nawracać, trwajcie we swej wierze, ale proszę was, nie prześladujcie waszych braci, którzy są chrześcijanami. Jedności i zgody nam trzeba, niech różnica wiary nie dzieli Polan. Przyjdzie chwila, a może ona nie tak daleka, że i wy przejrzyście. A pamiętajcie że grożą naszej Polsce rozliczne niebezpieczeństwa, więc trzeba nam zgody, jedności. Ale ramię naszego Bolesława, syna Mieczysławowego, silne jest, a on uczyni nasza ojczyznę sławną i potężną. Trwajcie tedy, jeśli wam się podoba, w czci bogów, ale nie siejcie niezgody, błagam was o to, błaga was ostatni ofiarnik z Wielkopolski.

Słowa tego starca wielkie wywarły wrażenie. Coś zaczęło w sercach zgromadzonych się odzywać, niby to głos sumienia. Sam Borzak był poruszonym. Powstał on jeszcze na końcu i zachęcał do wytrwałości w wierze i do niszczenia wpływu chrześcijańskich opowiadaczy wiary, ale głos jego był niepewnym i drżącym. Może przeczu-

wał, że wkrótce ostatnie runą bogi w nadodrzańskiej krainie, że niebawem krzyż Chrystusowy zabłyśnie i na Górcę Piorunowej. Przeczucie takie bowiem ogarnęło wszystkich, jednakowoż przysięgli wierność swym bożkom, a potem rozeszli się każdy w swoją stronę.

V.

W domu Borzaka.

Po tej naradzie wracał Borzak z Tojarem na Górke Piorunową. Dzień piękny, jak zwykle po burzy, rozweselał całe przyrodzenie. Kapłani przybyli na szczyt Górki, gdzie stał dąb nadzwyczaj wielki i rozłożysty, starannie pielęgnowany, bo co rok sypano naokół pnia żyzną ziemię. W cieniu potężnych konarów wznosiły się dwa bożyszcza t. j. Prowego i Radegasta, przy których odbywało zawsze straż dwóch niższych kapłanów.

Sześćset kroków od świętego dębu odległe znajdowało się mieszkanie Borzaka, które otaczał mur dosyć wysoki. Borzak zakolał w bramę po trzykroć młotem kamiennym, a wnet rozwarły się podwoje. Dwa niedźwiedzie skoczyły z mrukiem ku nad-

chodzącym, lecz oswojone te zwierzęta na skinienie Borzaka położyły się na ziemię. W dość obszernem zabudowaniu znajdował się oddzielny dom dla kapłanów i osobny dom dla Borzaka. Okna opatrzone były grubemi kratami, a miejsce szyb zastępował róg cienko krajany, bo szkła jeszcze wtedy nie znano. Borzak wraz z gościem wszedł do izby, gdzie ośmnastoletnia dziewczyna siedziała na krześle i szyła. Skoro zobaczyła wchodzących, zaraz porzuciła szycie, a ściskając za szyję ojca, radowała się z jego przybycia.

— Córko moja, — rzekł Borzak po chwili, — przygotuj śniadanie, bo ja i gość jesteśmy głodni. — Dziewczyna rzuciła okiem na gościa, a ukłoniwszy mu się z uszanowaniem, pobięła do pobliskiej komory.

— Szczęśliwy ojciec takiej córki! ja się nie mogę pocieszyć podobnem szczęściem, — zawołał rozczulony Tojar.

— Bracie, — odpowiedział Borzak — to dziecko jest moja jedyną pociechą, ono mnie jeszcze wiąże do ziemi.

— A o synie straconym nie doszłaż cię żadna wiadomość?

Zasepiła się twarz Borzaka na te słowa, a po chwili milczenia odpowiedział: — Wszyst-

kie moje poszukiwania były daremne, lecz oto jest śniadanie, więc bądźmy dobrej myśli, a wieczorem opowiem ci wszystko, co się tyczy tego nieszczęścia.

Przy zachodzie słońca siedzieli obaj starce na kamiennych siedzeniach na wystrzał od świętego dębu, prowadząc dalej ranną rozmowę. — Ciężkie nieszczęście towarzyszyło memu życiu, — mówił Borzak. — Zacznę od mojej młodości. Od nas na zachód mieszka pobratymczy szczerp Połabów. Wolność była najdroższym tego narodu klejnotem, a męstwo jego ozdobą. Przez długie lata staczał ten lud krwawe boje z Frankami, walcząc w obronie swej i bogów wolności. Nakoniec uległ ten naród, nie tak sile oręża, jak raczej wskutek niezgody. Wtedy lud był zmuszonym przyjąć chrześcijaństwo. Jednak część narodu tajemnie czciła swoich bogów. Także moi przodkowie, z rodu księcia Dragomira, zostali nadal wiernymi ojczystemu zakonowi. Rodzic mój na śmiertelnem łożu napominał mnie, abym nie porzucał bogów, abym bronił swobody mego narodu i nie bratał się z wrogami jego, którzy nań włożyli jarzmo, wycięli święte gaje i zburzyli nasze kontyny. Stałem się postępować jego śladami, ale

wkońcu zwróciłem na siebie prześladowania, tak, że nareszcie musiałem opuścić kraj rodzinny. Po licznych przygodach przybyłem tu do Górki Piorunowej. Zastałem służbę bogów nadzwyczaj lichą opatrywaną, lecz po usilnych moich staraniach udało mi się nie tylko cześć ich utrzymać ale i rozmnożyć. Dwa te bogi szeroko i daleko zasłynęły. Lud ze wszystkich stron począł się cisnąć z ofiarami, aż z nich powstały niezmierne skarby. I teraz, chociaż w około szerzy się chrześcijaństwo, przecież jeszcze moi bogowie cześć odbierają.

— Szczęśliwyś, rzecze Tojar. — Posiadasz władzę i skarby.

— Cóż mi potem, — przerwał mu Borzak — kiedy nie mam dziecięcia, któreby moje skarby i dostojeństwo mogło odziedziczyć.

— Czy nie masz córki? — odparł Tojar.

— Cóż niewiasta, — rzecze Borzak, — ona zawisła od męża, a kto wie, co za jeden jej przypadnie. Niestety! ja będę ostatnim z rodu książąt połabskich. O synu mój ukochany, gdybyś ty był przy mnie, rad bym złożył w grobie osiwiłałą głowę, bobym wiedział, że będę miał godnego następcę; — tu zapłakał rzewnie starzec, Tojar po chwili milczenia zapytał, jak długo syna utracił.

— Wiesz dobrze, że odbywałem często podróże, — opowiadał Borzak dalej, — aby utwierdzać naszą wiarę. Lat temu ośmnaście, wypadało mi koniecznie odbyć podróż do granic czeskich. Żona moja była wtenczas bardzo cierpiącą. Prosiła mnie bardzo, abym nie odbywał tej podróży, a widząc moje nieodmienne postanowienie, błagała, abym nie czynił nic złego chrześcijanom. Przyrzekłem, aby ją uspokoić, a potem pożegnałem się z nią i wraz z synem, który wtenczas liczył lat cztery. Odjechałem, ale jakaś trwoga mnie opanowała, przeczucie jakiegoś nieszczęścia towarzyszyło mi przez całą drogę. Więc czemp prędzej powróciłem do domu mego, ale cóż zastałam? Oto! umierającą żonę moją i małą dziecinę, która dziś jest mą jedyną pociechą. Jest to bowiem Krasława, moja córka. Widząc żonę w tak okropnym stanie, pobiegłem do jej łóża pełen obawy. Ona rzuciła na mnie czułym wzrokiem, a potem rzekła: Drogi mężu, wysłuchaj mojej ostatniej prośby. Prosiłem, aby czemp prędzej powiedziała czego żąda. Już trudno jej było mówić, po wielkiem dopiero wysileniu, tak się do mnie odezwała: — Mężu, porzuć błąd, w którym trwasz, uwierz w prawdziwego Boga, — jeszcze chciała coś mówić,

ale wróćca jakieś dziwne wzruszenie ja opadowało, podniosła oczy w górę, i za chwilę żyć przestała. Któż opisze moja boleść, mój smutek po stracie tak dobrej żony. Zapomniałem o wszystkim a nawet o moim synku i dopiero na wieczór pytałem moich sług, gdzie się znajduje, ale nikt nie wiedział, gdzie się podział. Tyle tylko wiedziano, że wyszedł z pacholkiem Kanpakiem w pole. Każę wołać Kanpaka, ale go nigdzie nie było. Wtedy rozpacz ogarnęła moje serce. Zwołałem czempredzej pacholków i co było ludzi w bliskości i kazałem szukać naokół syna, lecz daremne były poszukiwania. I później nie mało się starałem, ale ani śladu nie odkryłem, gdzie mój syn przebywać może. Zapewne pożarły go dzikie zwierzęta. Zachorowałem ciężko, a choć co prawda przyszedłem do zdrowia, to już nigdy nie wróciło dawne szczęście. Tylko córka uprzyjemnia mi smutne chwile tęsknoty.

Wtem dał się słyszeć głos wesoly, a po chwili przybiegła Krasława do ojca i rzekła: — Tatuniu! chodź już do domu, bo mgła wieczorna może ci zaszkodzić, a czeka już na was smaczna wieczerza.

Powstali starcy i wolnym postępowali krokiem. W drodze rzekła Krasława: — Ta-

tuniu, gdybyś wiedział, co mam w domu pięknego i kto mi to przyniósł.

— Cóż takiego? — rzekł Borzak.

— Oto dostałam bardzo piękne sarnie — odrzekła Krasława.

— Któż ci je przyniósł? — zapytał ojciec.

— Lędzin, — odrzekła cichym, lęklwym głosem dziewczyna.

Zasepiła się twarz Borzaka, a po krótkim milczeniu rzekł do córki: — Wszakże ci Krasko zakazałem wszelkiego obcowania z Lędzinem.

Odrzekła na to córka: Przebacz ojczy, nie przestąpiłam twego zakazu, bo ani słówka z Lędzinem nie mówiłam. On potajemnie przyniósł sarnie, a gdy odźwierny uchylił nieco bramy, wtedy wsunął je na dziedziniec i spiesźnie odszedł. Szczęściem, że byłam temu przytomną, boby były niedźwiedzie biedne zwierzątko rozszarpały. Wszakże mi pozwolisz kochany tatuniu chować tę sarenkę, a jak dorośnie, puszcze ją do lasu.

— Cóż mam robić, — rzecze ojciec, — niechże i tak będzie.

Uradowana Kraska podziękowała czule, a potem pobiegła szybko jak łania, aby zastawić wieczerzę.

Tojar zapytał, ktoby był ten Lędzin,

a Borzak dał mu odpowiedź, że to jest syn Promnego, dziedzica włości otaczających Górke Piorunową. — Ten Lędzin, — ciągnął dalej Borzak, — był na dworze królewskim w Gnieźnie, gdzie snadź został chrześcijaninem. Wróciwszy stamtąd, pragnął pojąć w małżeństwo moją córkę, ale odmówiłem mu jej jako odstępcy bogów.

Przy ostatnich słowach znaleźli się w domu, gdzie na nich czekała już wieczerza. Po jej spożyciu udano się na spoczynek

VI.

Lędzin.

Krasława dnia tego długo w nocy zasnąć nie mogła. Usiadła przy stole, oparła głowę na lewej ręce, a prawa często lzy ocierała. Czy chora? Czy też ją co boli? Tak boli, ale nie ciało, lecz dusza, i jej serce kochające. Krasława miała lat ośmnaście. była piękną, poiadała tkliwe, czułe serce, to też nie dziw, że już wiedziała, co miłość. Oj ta miłość, jak dziś tak i wtenczas już panowała, siejąc radość, wesele, cierpienia i bóle między ludźmi. — Siedziała tedy zadumana piękna Krasława a czarne myśli ją opanowały. — Smutną była jej dola. Nie

znała matki, ojciec nie chciał czy nie umiał pojąć jej dziewiczego serca. I dla czegoż to Krasława była tak zadumana?

Odwiedzała ona nieraz Radzichę, która ją karmiła i wychowywała. Razu pewnego podług zwyczaju przechadzała się nad jeziorem z dwoma dziećmi Radzichy, gdy wtem nagle wypada z lasu dzik ogromny, który w całym pędzie uciekał. Krasława i dzieci krzyknęły z przestachu, a starszy chłopczyk, pragnąc ująć niebezpieczeństwa, leciał nad jeziorem ku chatce; wtem pośliznęła mu się noga, i wnet zanurzył się w falach jeziora. Załamana ręce Krasława i pobiegła ku jezioru. Lecz w tej chwili przybył też jeździec na dzielnym rumaku, który czemprej zeskoczywszy z niego rzucił się w wodę, aby wyratować chłopczykę. Ale daremnie zanurzał się w wodę, nie mógł znaleźć dziecica. Wtem wskazuje mu Krasława mówiac! — Tam jest — tam jest. — Popłynął w tę stronę młodzian, ale już znowu okryła woda ciało chłopczyzny. Dał nurka nieznanomy i nakoniec udało mu się dziecko pochwycić. Atoli siły jego zaczęły nagle słabnąć, a na nieszczęście znajdował się w niebezpiecznem miejscu, gdzie woda bystrym prądem się toczyła. Wir pochwycił wybawcę

i zanurzył z dziecięciem pod wodę. Gdyby był miał wolne ręce, toby się ocalił, ale szlachetne jego serce nie pozwalało na to, aby puścić dziecko a samego siebie ratował. Wtem szczęśliwa myśl przyszła mu do głowy. Rzucił chłopca na plecy i obiema rękoma walczył przeciw natarczywości prądu. Z największym wyteżeniem dopłynął do brzegu, ale już nie zdołał wyjść na ląd, gdyż stracił przytomność. Groziło mu niebezpieczeństwo, gdyż woda była jeszcze dosyć w tem miejscu głęboka; aliści Krasława uchwyciła go za kraj szaty i wraz z dziecięciem na brzeg wyciągnęła. Lecz któż opisie boleść dziewicy, gdy dostrzegła, że wybawca i chłopczyk są bez życia. Nadbiegła wkrótce Radzicha, która widząc syna martwego, biadając, czemp prędzej go uchwyciła i pobięła do chaty. Krasława zaczęła się krzątać koło nieznajomego młodzieńca, nacierała mu skronie, a łzy obfite spływały strumieniem na twarz utonionego. Jakżeż się uradowała, gdy młodzieniec otworzył oczy i z cicha zapytał: gdzie jestem? Krasława w uniesieniu dziękuje bogom, lecz gdy jej oko spoczęło na nieznajomym, wtedy piękna jej twarzyczka spłoneła rumieńcem, bo piękniejszych lic dotąd nie widziała, a krom

tego przekonała się naocznie o dziełności i szlachetności młodziana. Wtem powróciła także Radzicha, uradowana, iż się dotrzymała syna; i przy jej pomocy zaprowadzono wybawcę do chaty, gdzie wkrótce zupełnie przyszedł do siebie.

Całą noc następna śniła Krasława o nieznanym, a jakżeż się zadziwiła, gdy rano wejrząwszy okiem na dziedziniec, zobaczyła wczorajszego młodzieńca rozmawiającego z ojcem. Jakieś nieznane uczucie ścisnęło jej serce, tem więcej, gdy spostrzegła, że twarz ojca pełna była niechęci. Niedługo oddalił się młodzian, a rozgniewany Borzak wszedł do izby i zapytał córki: skądby знаła tego człowieka? Krasława opowiedziała wczorajsze zdarzenie, a gdy skończyła, rzekł ojciec: — Pamiętaj Krasławko, abyś się nie poważyła ani słówka do tego obludnika przemówić, gdyż jest on największym moim nieprzyjacielem. — Przelekniona córka padła więcej, niż siadła na krzesło. — Czemuż ojciec twym nieprzyjacielem, wszakżeś mi nic nigdy o nim nie mówił. — Lecz ojciec zbył ją tylko tem zapewnieniem, że ów młodzieniec jest obludnikiem i nieprzyjacielem, bo nie wierzy w bogów, — a zatem strzeż się go Krasławko, powtarzam ci raz jeszcze — mó-

wił gniewny Borzak, a niedługo wyszedł z pokoju.

Krasława zatopila się cała w myślach. Zdawało się jej być niepodobieństwem, aby tak szlachetny wybawca miał być obłudnikiem i nieprzyjacielem. — Obludnik, mojem zdaniem, — mówiła do siebie Krasława, — powinien mieć podobne oczy jak Kotek kapłan, ulubieniec ojca, który mi się naprzykrza ze swemi oświadczeniami. — Pragnąc się dowiedzieć bliższych o nieznanym młodzieńcu wiadomości, pobiegła do Radzichy, pytając kto jest wybawcą chłopczyka? Na to rzecze Radzicha: — Jest to Lędzin, syn Promnego, ziemianina z Tychów. Co to za dobry i łaskawy pan! Jakże się mile z każdym rozmówi, dzieci moje głaska i pieści, a i dziś troskliwie się wywiadywał o zdrowie chłopczyka.

— A dla czegoż go dawniej nie widziałam? — zapytała Krasława.

— Niedawno tu przebywa — odrzekła Radzicha, gdyż dotąd aż tam gdzieś w królewskim mieście Gnieźnie przebywał. Ale gdybyś wiedziała, jak się o ciebie wypytywał, a jak przytem wzdychał a nawet płakał nieborak. Mówił on coś, spoglądając na dwór waszego ojca, o wilku, który więzi

jagnię, i że on jagnię wyratuje, choćby życie miał utracić.

Wielce wzruszona słuchała Krasława tego wszystkiego, a odtąd pokochała Lędzina silną miłością. Nadeszła tymczasem zima, a biedna dziewczica nie tylko nie widziała ani razu miłego jej sercu, ale nic o nim nie słyszała i dopiero dziś nieco się rozweseliła, dowiedziawszy się, że to Lędzin przyniósł jej piękną sarenkę. O jakżeż drogiem było to zwierzątko jej sercu! Teraz już wiemy, dla czego nie mogła Krasława zasnąć — myśl jej była zajęta Lędzinem i zaporami, jakie ich dzieliły.

VII.

Zabiegi Borzaka.

W kilka dni potem wszedł Borzak do pokoju Krasławy i tak do niej przemówił: — Córko ukochana, ważna rzecz woła mnie na niejaki czas do Gliwic; lecz dla tego nie troskaj się, że sama zostaniesz; Kotek będzie twoim opiekunem. — I długo jeszcze rozmawiał z córką, a mianowicie zachęcał ją, aby była uprzejmą i grzeczną dla Kotka. — Wyznam ci szczerze, — mówił wkońcu — że pragnąłbym, abyś była żoną Kotka. Ja bo-

wiem, może już nie będę długo bawił na tej ziemi, a wtedy cobys poczęła sama jedna? Weźmij więc Kotka, uczciwego kapłana za meża, który będzie moim następcą, a uszczęśliwiony będę tem przekonaniem, że córkę dobrze wyposażyłem.

Kraślawa struchlała, a wkońcu na nalegania ojca wyrzekła, że wcale Kotka nie kocha. Zapalił się gniewem Borzak, napomniiał ją tedy surowo, aby wypełniła jego wolę, jeśli chce być dobrą córką. — Przez te kilka dni, które zabawię w podróży, daję ci czas do namysłu, a gdy wrócę, dasz mi stanowczą odpowiedź. — Po tych słowach opuścił Borzak płaczącą córkę i udał się do swego pokoju, kazawszy Tojara do siebie przywołać.

Gdy Tojar wstąpił, rzekł Borzak do niego: — Bracie gotuj się w drogę. Nasz współbrat Składczyk z Gliwic posłał do mnie, abym czempredzej na pomoc mu przybywał. Jakiś Klemens, kapłan chrześcijański sprawuje mu wielkie przykrości i wiarę zgubną dla bogów naszych nie bez skutku rozsiewa.

— Klemens, Klemens, odrzecz Tojar, — jest to zapewne ten sam, który uwiódł Wrabnę i zburzył nasze bogi na Chelмку.

Jeżeli to ten sam, to ciężka walka zapewne nas czeka.

— Musimy koniecznie coś przedsięwziąć — odpowiedział Borzak — dla tego chcę się o wszystkim naocznie przekonać i poznać tego Klemensa. — Po tej rozmowie wkrótce wyruszyli w podróż, zabrawszy z sobą dwóch kapłanów i dwoje sług.

Trzeba ci zaś wiedzieć, kochany czytelniku, że w owych czasach dróg prawie nie było. Przez rzeki i wody trzeba było w bród jechać albo je poprostu omijać. Wioski także nadzwyczaj były rzadkie. Kilka mil nieraz przejechał podróżny, zanim doszedł do kilku lepianek.

Miasto Mikołów, które wtenczas zwało się Kozięc, składało się z kilkunastu tylko pomieszkań. Borzak zatem ze swym orszakiem podróżował po większej części lasami. Wieczorem nakoniec stanęli w Gliwicach, które w owych czasach składały się także zaledwie z kilkudziesięciu biednych chat, podobnych do pomieszkania Lepy. Podróżni udali się więc zaraz do kapłana Składczyka. Gospody wówczas nie były znane, bo też nie były potrzebne, gdyż każdy podróżny udawał się do pierwszej lepszej chaty, a wszędzie doznawał najserdeczniejszego przy-

jęcia. Gość był świętą każdemu Słowianinowi osobą, gdyż wierzono, że obcy stoją pod osobliwą opieką Radegasta, a zatem szczęście w dom przynoszą. Borzak i Tojar zostali tedy u Składczyka, a ich towarzysze znaleźli u innych Gliwiczán gościnne przyjęcie.

Długo w noc toczyła się u Składczyka narada, coby wypadało uczynić z Klemensem. Podróżni dowiedzieli się bliższych o nim szczegółów. Nikt nie wiedział skąd przyszedł ten krzewiciel nowej wiary. Zaraz po przybyciu uleczył dziecię Raczka, najznakomitszego ziemianina w Gliwicach. Przez to zyskał Klemens cześć i uszanowanie nietylko u Raczka, ale i u ludu naokół, który we wszelkich chorobach i dolegliwościach udawał się do niego, a nie do bogów, a ponieważ nieomal każdego uleczył, tem więcej krzewił swoją naukę. — Zwyczaj — opowiadał dalej Składczyk — żąda Klemens od chorego, aby się wyrzekł swej przyrodzonej wiary. Jeżeli to uczyni chory, wtedy modli się i kładzie nań ręce i polewa wodą, co się chrztem nazywa. Potem zawiesza mu na szyi małą szubienicę (krzyż) na którym widać figurę przybitego człowieka, a nakoniec daje lekarstwo, które prawie zawsze przywraca zdrowie choremu. Lecz co najdziwniejsza, że Klemens nie żąda zapłaty za

uleczenie, tylko wymaga od każdego, aby się wyrzekł bogów. A tak, sławny Borzaku i czci-
godny Tojarze! bogowie nasi opuszczeni, lud
udaje się do cudzoziemca, który ich o swoim
Bogu naucza. Jeżeli, wielki Borzaku! w swojej
mądrości nie znajdziesz pomocy, wtedy wiara
naszych ojców weźmie koniec w Gliwicach.

Skończył Składczyk, a grobowe nastało
milczenie. Borzak zadumany mierzył izbę
wielkimi krokami, rozmyślając, co by wypadało
uczynić. Nakoniec w te odezwał się słowa:
— Nim co przedsięwzię, muszę wprzód po-
znać świętoszka Klemensa. Chodzi o to,
gdziebym go mógł poznać.

— Jest to nader łatwą rzeczą — odpowie-
dział Składczyk: — Raczek mieszka odemnie
o kilkaset tylko kroków, a u niego najcze-
ściej Klemens przebywa. Możecie jutro od-
wiedzić Raczka, a zapewne zobaczycie Kle-
mensa. — Jeszcze długo rozmawiali z sobą,
zanim sen skleił ich powieki.

VIII.

Opatrzność strzeże swych wybranych.

Niedaleko mieszkania Składczyka wznosił
się dom Raczka. Był to mąż około lat 40
liczący, krzepki, mocny, zahartowany na trudy.

Żona jego Dobromira, była o 10 lat młodsza, a najstarszy synaczek Mieszko czyli Miecysław, kończył już lat dwanaście, — Nieborak Klemens tak daleko bez śniadania poszedł — mówiła Dobromira. Mężu drogi, on się zniszczy tymi trudami. Wczoraj w nocy późno powrócił, a dziś już rychło rano znowu pośpieszył do chorego.

Gdy tak sobie rozmawiali o Klemensie, oczekując jego przybycia, uderzył naraz młot o bramę. Pośpieszyli wszyscy do okna, lecz zamiast oczekiwanego Klemensa ujrzeli dwóch ziemian z czterema sługami. Wybiegł natychmiast Raczek na ich przybycie, powitał ich serdecznie i do pokoju zaprosił. Pachółkom zaś zalecił, aby mieli baczną i starannie o sługach i koniach gości. Podróżni opowiedzieli, że pochodzą od Karpat a dążą do Wielkopolski, aby odwiedzić krewnych. Byli to zaś, jak się już zapewne łaskawy czytelniku domyślasz, Borzak i Tojar, którzy dla niepoznania przybrali strój ziemian. Wnet zjawił się dzban potężny na stole, a pełne czary czerwonego miodu krążyły naokół. Rozmawiano wesoło, a gościnny gospodarz zapraszał do picia i opowiadał o Klemensie, jak uzdrowił ich syna i ile dobrego czyni naokół. Słuchali Borzak i Tojar, a słysząc

tylę dobrego o Klemensie, nie wiedzieli co sadzić o nim mają.

Wtem ozwał się młot znowu, a wkrótce Klemens wszedł do pokoju. Miał na sobie kapucę, jaką zwykle nosili zakonnicy, biodra jego otaczał węzłowaty pasek. Twarz jego na pierwszy rzut oka każdego zająć musiała. Jakżeż ci ją łaskawy czytelniku opisać? Widziałeś może obraz św. Jana Ewangelisty, ucznia miłości? Otóż Klemens był żywym obrazem św. Jana. Twarz jego tchnęła łagodnością i pokojem, a ktokolwiek nań spojrział, mimowolnie pokochać go musiał. Doznał tego i Borzak, który zamiast nienawiści uczuł dziwny w sercu pociąg do Klemensa. Nie mógł oderwać do niego oczu, tem więcej, **gdy** zamiast męża pełnego samolubstwa, jak sobie Klemensa wystawiał, ujrzał młodzieńca ujmującej postaci.

Raczek zapoznał Klemensa z gośćmi, dodając, że uzdrowił jego syna. — Nie ja, ale Bóg uzdrowił — dodał pokornie Klemens.

— Który Bóg, Jesse czy Radegast, albo inny, przecież jest wielu bogów? — zapytał Borzak.

— Panie — odpowiedział Klemens — Bóg jest tylko jeden a oprócz Niego nie ma bogów. Bóg nie ma imienia, tylko pod wzglę-

dem doskonałości zwiemy Go: wszechmogącym wszędzie obecnym, dobrym, sprawiedliwym, miłosiernym, niepojętym itd.

— Tego nie pojmuję — rzekł Borzak — jak może być wszechmogącym, wiecznym, jeśli dał się na krzyżu zabić.

— Panie! — rzekł Klemens z westchnieniem, — Bóg jest jeden w Trójcy świętej jedyny. Z miłości ku nam zesłał na świat Syna Jednorodzonego, aby oświecił grzesznych ludzi i nauczył ich, co wierzyć i czynić mają, aby byli szczęśliwymi za życia i po śmierci. Tym Synem Bożym jest Jezus Chrystus, który nauczał ludzi, a wkońcu śmierć podjął krzyżową, aby potwierdzić Swoją Boską naukę. Prawda, że skonał na krzyżu nasz Zbawiciel z niewysłowionej dla nas miłości, ale w trzy dni zmartwychwstał, a przez to najwymowniej dowiódł, że był prawdziwym Bogiem. Licznymi cudami okazał także, że był Synem Bożym. Po śmierci Jezusa Chrystusa uczniowie opowiadali naukę Jego. Także i ja jestem niegodnym uczniem Zbawiciela mojego, i pragnąłbym naśladować mego Boskiego Nauczyciela. — W podobny sposób wyjaśniał Klemens zasady nauki Chrystusa.

Borzak, zdawało się, że był widocznie wzruszony, coś niepojętego ciągnęło go ku

Klemensowi i kazało wierzyć jego słowom, ale z drugiej strony nienawiść chrześcijaństwa głuszyła dobre zapędy. Borzak wstał nieznacznie, pomówił parę słów z Tojarem i wyszedł na podwórze, gdzie dał jakiś rozkaz sługom. Gdy wrócił do pokoju, tak zaraz powstał wielki hałas na dworze. Biegli wszyscy do okna, aby zobaczyć tego przyczynę. Był to koń, który jak szalony pędził po podwórzu, Biedne zwierzę! Sługa Borzaków wraził mu pokryjomu do ucha kawałek zapalanej hubki. Od nieznośnego bólu tarzał się koń po ziemi, wspinał w górę i drżał na całym ciele. Oprócz Borzaka i bezbożnego sługi nikt nie wiedział, co było przyczyną niespokojności konia, Wszyscy w izbie spoglądali przez okno.

Tej chwili użył Tojar, aby wypełnić rozkaz Borzaka, który mu polecił wlać trucizny do Klemensowego kielicha. Bóg atoli czuwa nad swymi wybranymi i nie dozwala, aby im źli ludzie szkodzili. Cudowne są drogi Pana, a któż je odgadnie? Sądził Tojar, że nikt nie widział jego zbrodniczego czynu, ale zapomniał o małym chłopczyku Mieszku, któremu Klemens życie ocalił. Ten spostrzegł niecną czyn Tojara, a przeczuciem wiedziony, że to coś złego, czem prędzej powiedział ci-

cho matce, co widział. Przełęczniona Dobromira korzystając z tego, że wszyscy wyszli na dwór, postawiła swój kielich na miejscu Klemensa. Koń się nareszcie uspokoił, bo hubka mu w uchu dotlała, a przytomni wrócili do pokoju.

— Panowie — rzekł Raczek — proszę do miodku, bo bardzo wywietrzy.

— Dozwól Panie — odpowiedział Borzak — że do pana Klemensa piję. Panie Klemensie — dodał, zwracając się do niego — pijmy każdy na cześć swoich bogów. Ja piję na cześć moich bogów, a ty pij na cześć swego Boga. Zobaczymy komu lepiej posłuży. — Borzak ofiarował swym bogom, ulawszy kilka kropli na ziemię i wychylił kielich do dna.

Klemens odrzekł: — Szlachetny Panie! ja wszystko, co czynię, czy jem, czy piję, Bogu mojemu na cześć ofiaruję. — Potem uczyniwszy znak Krzyża świętego, kielich wypróżnił. Borzak i Tojar dziękowali Raczkowi i jego małżonce za gościnne przyjęcie, udając, jakoby dalej jechać chcieli. Jednak czekali jeszcze nieco, pragnąc widzieć skutek trucizny. Była bowiem tak ostra, że po jej zażyciu człowiek w kilka chwil umrzeć musiał. Czekają i czekają, ale i najmniejszej odmiany na twarzy Klemensa nie spostrzegli. Klemens

ich odprowadza przy odjeżdżaniu aż za bramę dworu i zdrowy do mieszkania powraca.

— Cuda nad cudami — mówi Tojar do Borzaka — niemal wszystka trucizna ze słojka wlałem do kielicha Klemensowego!

— Musi to być bardzo wielki czarownik kiedy mu nawet taka trucizna nie szkodzi — dodał Borzak.

IX.

Napad w lesie.

Wkrótce po wyjeździe Borzaka i Tojara udał się i Klemens w podróż, pragnąc odwiedzić chorych i nowonawróconych. Miał przybyć na wieczór do Gliwic, tymczasem minął wieczór i noc przeszła, a Klemensa, jak nie widać, tak nie widać. Wtem dozorca dworu doniósł, że ludzie przywiedli konia sługi Pantaka, który z Klemensem wyjechał. Strwożony Raczek, wziawszy kilku sług z sobą, udał się w trop za Klemensem, by go odszukać. Co za okropny widok niebawem ich przeraził? W poblizkim lesie znaleźli martwe ciało Pantaka, a naokół widać było ślady krwi. Przerażony Raczek kazał zabrać ciało Pantaka do domu, i co rychlej rozesłał sługi na wszystkie strony, by szu-

kali Klemensa. I przeszukano całą okolicę, ale nadaremno. Smutek panował nie tylko w zamku Raczka, ale i całe miasto o Klemensa lamentowało. I gdzież się znajdował ten gorliwy kapłan Chrystusa?

Borzak i Tojar po wyjeździe od Raczka udali się do Składczyka, gdzie dowiedzieli się, że Klemens wkrótce wyjedzie. Wyjechali tedy ze swym orszakiem, aby nań czatować. Jechał Klemens, odmawiając modlitwy z książeczki, a towarzyszył mu Pantak, sługa Raczka. Odbyli już z połowę zamierzonej drogi, gdy wtem nagle wypadło z gęstwiny kilku jeźdźców, którzy ich zewsząd otoczyli. Klemens poznał w nich ziemian, a Pantak ich sług, którzy byli w odwiedzinach u Raczka; oprócz tego spostrzegli Składczyka, pogańskiego kapłana z Gliwic. Obaj zadziwili się, nie wiedząc, co to otoczenie ma znaczyć. Wtem krzyknie Borzak zapalczywym głosem: — Klemensie, czarowniku! pojedziesz z nami, a nauczymy cię, że nasze bogi są potężniejsze od waszego boga ukrzyżowanego.

— Nieprawda, — zawołał Pantak, a dobywszy miecza, ciał Borzaka. Tojar skoczył na obronę, lecz za to odebrał cięcie śmiertelne zamiast Borzaka, z rozplataną tedy głową padł na ziemię. Jeden ze sług Borza-

kowych ranił tymczasem Klemensa, a nakoniec uległ przemocy i Pantak, wierny i dzielny sługa, odebrawszy cios śmiertelny. Słudzy skoczyli na ratunek swym panom a mianowicie Borzakowi, bo Tojar już nie żył, odebrawszy zapłatę za czyn zbrodniczy, który chciał popełnić na Klemensie w Gliwicach; Składczyk zaś będąc bojaźliwego serca, widząc krew płynącą, czemp prędzej się oddalił.

Podczas gdy słudzy trzeźwili Borzaka, Klemens otworzył oczy, gdyż rana jego bowiem nie była śmiertelną. Opodał leżał Pantak, który jęcząc boleśnie, rzekł do Klemensa: — Przeżegnajcie mnie Klemensie, gdyż śmierć moja blizka. O moje ubogie sieroty, cóż się z wami stanie? — Klemens przeżegnał Pantaka, pocieszając go, że Bóg i dobrzy ludzie będą mieli staranie o jego dzieciach. — A teraz powiedz, — mówił dalej, — czy nie masz jakiej winy na sumieniu? Wyznaj ją, abyś czysty na duszy stanął przed Bogiem. — — Ach! — odpowiedział Pantak, — wczoraj pogniewałem pana mego a nie przeprosiłem go za to. Przeproście go za mnie Klemensie! — — Żałujesz za ten i za wszystkie grzechy twego żywota? — zapytał Klemens. — Żałuję — odpowiada Pantak. — Bracie! pragniesz Jezusa, — pytał dalej Klemens. — Pra-

gnę, — szepnął sługa, bo już mówić nie zdołał. Klemens sięgnął ręką pod szatę i wydobyl małą, złotą puszkę, w której miał zawsze Komunię św. Podał jedną hostyę umierającemu, mówiąc: — Bracie! weźmij posiłek na drogę do wieczności. — Potem spożył sam resztę hostyi z troskliwością, aby się nie dostały w ręce pogan. Dziwisz się zapewne, kochany czytelniku, że Klemens Najświętszy Sakrament przy sobie nosił. W owych czasach nie miał zawsze kapłan sposobności odprawiania św. ofiary, dla tego mianowicie ci kapłani, którzy opowiadali słowo Boże w okolicach, gdzie nie było kościołów, nosili hostye w złotych naczyniach, które na piersiach chowali.

Czas już wielki był, aby Klemens spożył Komunię św., gdyż słudzy zawiązawszy rany Borzaka, do niego się zwrócili. — Czaruje! czaruje! — zawołał Borzak, — zabrońcie mu czarów, boby nam zniknął, albo nas poczarował! — Rzucili się słudzy na Klemensa i związali mu ręce, jednak z bojaźni nie śmieli jego szat i kieszeni obszukać. Klemens cierpliwie podał ręce do związania, a oczy wzniosł do nieba, błagając Boga o pomoc. Słudzy wsadzili go na konia, a dosiadłszy także sami rumaków puścili się w podróż. Biedny

Klemens musiał wiele w tej drodze wycierpieć, zwłaszcza, że rany jego nie były opatrzone. Omdlał więc i spadł z konia. Przyskoczyli do niego słudzy, a kopiąc go nogami wołali szyderczym głosem: — Niech ci teraz pomoże Bóg chrześcijański?

Zbudził się Klemens z omdlenia, a zamiast złorzeczyć prześladowcom, dziękował Bogu, że mu pozwolił cierpieć dla Jego chwały. Wsadzono go znowu na konia, rozwiązawszy mu ręce, aby nie spadł po raz drugi.

X.

C z a r n a.

Po kilku godzinach jazdy kazał Borzak stanąć. Znajdowali się na starem, ale małym zrębisku. Przed nimi stał wielki buk, na którym była przybita trupia głowa, wybiełona od słońca i deszczu. Borzak rzekł do jednego pachółka: — Idź i uderz w buk kilka razy mieczem i daj znak sowy. — Pacholek uderzył w drzewo i zawołał dwa razy jak sowa: — Puh! Puh! — Wnet ukazała się z za buku straszna osoba, na której widok sługa ze strachu na bok odskoczył. Była to kobieta stara. Włosy jej już na pół siwe spadały na ramiona i plecy. Oprócz czerwonej

sukni, która od biodr do ziemi sięgała, nie miała nic na sobie prócz sznurka na szyi, na którym były nawleczone zęby, tak ludzkie jak i zwierzęce, a nawet były tam małe kościczki, które pochodziły z palców małych dzieci. Twarz jej była nadzwyczaj szpetna, nawet okropna. Jedno tylko posiadała oko, ale co za oko! Na wszystkie strony błyskała tem okiem, tak że wciąż było w ruchu. Nos miała długi, tak krzywy, że nieomal brody sięgał. Do tego była okropnie chuda, tak, że jej wszystkie kości można było policzyć. Palce nadzwyczaj długie, kościste, opatrzone były bardzo długimi paznokciami, a raczej pazurami. Kobieta ta zwała się Czarną, a naokół słynęła ze sztuk czarodziejskich. Mieszkała ona w podziemnej jamie pod bukiem, gdzie dziś niedaleko kopalnie węgla „Murcki“ się znajdują. Kilka kroków od tej jamy wytryskiwało źródło, które po dziś dzień zowie się „Czarną Studnią“, niejako pamiątka po tej czarownicy. Gdy Czarna ujrzała Borzaka, pokłoniła mu się nisko, wołając piszczącym głosem: — Wielki mistrzu! czem ci mogę służyć.

— Czarna, — odezwał się Borzak, — masz nas leczyć, bo nieomal wszyscy ranni jesteśmy. — Bogowie! wrzasnęła czarownica,

— któż się poważył podnieść rękę na świętego Borzaka? A gdzież mój syn Kotek? gdyby on był z wami, toby się wam nic złego nie stało.

— Uczyń tylko, czego żądam, — odpowiedział zniecierpliwiony Borzak.

— Zaraz, zaraz, — odrzekła, — zbliżcie się tylko do mego mieszkania.

Pod bukiem, który stał na górcie, znajdowała się pod gałęziami jałowca dziura. Gdy się do niej zbliżyli, wywinął się wąż wielki, który wzniósł się szybko w górę, nieprzyjaźnie sycząc na przychodzących. Gdy atoli Czarna rozkazała — pod gałąź, — wąż, choć niechętnie, zwinął się kłębkem pod gałęzie krzaka, mierząc gości bystreimi oczyma. Czarna ogłądała i macała ranę Borzaka, a potem wymyła ranę wodą, namazała maścią z drugiego naczynia, urwała listek z dziwnej rośliny, która rosła nad jamą i przyłożyła na ranę.

— Nieprzepłacona z ciebie lekarka! — rzekł po krótkiej chwili Borzak, — ach! jak to przyjemne ciepło przechodzi moje ciało! jak to ożywia moje siły. — No jakże lekarzu chrześcijański, dokazałbyś tego, co stara baba pogańska? — odezwał się Borzak do Klemensa. Ten atoli milczał.

Czarna usłyszawszy to słowo „chrześcijański,” podskoczyła w górę, jakby ją żmija ukąsiła. — Co? — krzyknęła, — chrześcijański? prawdaż to wielki Borzaku? Odarujmigo.

— Dobrze, — rzekł Borzak, — jeżeli mu wypłacisz za te rany i cierpienia, które z jego powodu ponosimy, a po drugie, jeżeli go zmusisz do uznania, że nasi bogowie są potężniejsi od Boga chrześcijańskiego. Lecz teraz spraw najprzód ulgę moim towarzyszom.

Czarna dziękowała u nóg Borzaka, a potem szybko pobiegła do jamy. Tymczasem słońce zaszło za ciemną chmurę i odległy grzmot dawał się słyszeć. Czarna została dość długo w jamie, a gdy wyszła, już całe niebo było zachmurzone.

— Prowe cieszy się ze swej ofiary, — mówiła czarownica. Klemens spoglądając na to wszystko, modlił się w cichości, polecając się Bogu. Czarna opatrzywszy rannych, przyniosła kamienny dzbanek z jakimś napojem, prosząc Borzaka, aby się napił. Borzak pił, a Czarna podała dzbanek i jego towarzyszom. Co pili, nie wiedzieli. Napój był smacznym, i byłby nieszkodliwym, gdyby czarownica doń nie była domieszała soku z wilczych jagód, ażeby pijących do dzikości i okrucieństwa pobudzić. Wnet też ujrzała pożądaný skutek. Twarze

Borzaka, podkapłanów i pacholków rozpalily się nadzwyczajnie, oczy iskrzyły się dzikim ogniem, krew mocniej grała w żyłach, a każdy z nich uczuł jakaś wściekłość, aby drugiego targać zębami.

Czarna rozkazała Klemensa położyć na kamień, chcąc, jak mówiła, serce jego zobaczyć. Lecz Borzak nie dozwolił, pragnąc, aby Klemens dłuższe męki ponosił. Na to rzekła czarownica: — Chrześcijanin żyć będzie dni kilka. Ja tylko otworzę pierś jego, ale ranę poleję zaraz sokiem, aby krew nie ciekla, a dla tej rany może żyć dni kilka; ja zaś co godzinę utoczę z serca trzy krople krwi, z których nagotuję cudownej maści.

Zezwolił na to Borzak, a więc położono Klemensa na kamieniu. Wtedy Borzak zachęcał go, aby się wyrzekł Boga chrześcijańskiego, a uwierzył w bogi pogańskie.

— O Boże! — zawołał Klemens, — Ciebie mam się wyrzec, któryś mnie stworzył i odkupił? Boże, bądź mi pomocą, abym zwyciężko wytrwał w tej walce dla chwały Imienia Twego. Czuję na sercu radość niebieską, wiem, że mnie wysłuchałeś. Ofiaruję Ci krew moją za grzechy moje i nieprzyjaciół. Panie! odpuść im, bo oni nie wiedzą, co czynią! Oświeć ich, aby Cię poznali. Bo-

rzaku — mówił, zwracając się ku niemu, — czyń ze mną, co ci się podoba, ja zostanę wiernym memu Bogu. — A wtem grzmot rozległ się nad nimi, lecz oni na to nie zważając, rzucili Klemensa o kamień, że o mało grzbiętu mu nie złamali. Carownica wzniosła nóż, aby rozciąć pierś jego. Klemens zawołał tylko: — Jezu! przybądź mi na pomoc, — a wtem zabłysło, zagrzmiało, i piorun uderzył w tę gromadę. Wszyscy padli na ziemię, męczennik i ci, co go męczyli.

XI.

Krasława.

Cóż się tymczasem działo z Krasławą? — Ach! smutne było jej położenie podczas niebytności ojca, gdyż zostawała pod strażą znienawidzonego Kotka, który jej się wciąż naprzykrzał swemi pochlebstwami i oświadczeniami. Rozmyślając raz w swej komórcie nad dola swą, usłyszała naraz uderzenie w okno. Była to Radzicha, stara jej mamka, która rzekła: — Ach! droga Krasławo! jeżeli możesz, przyjdź dzisiaj na łąkę olszową. Jeżeli nie przyjdiesz, Lędzin będzie nieszczęśliwym. — Po tych słowach odbiegła czem prędzej, bo właśnie nadchodził Kotek. Ten

widząc zapłakane oczy Krasławy, zapytał udając łagodność: — coby jej było i dla czego płacze? — Krasława na to odrzekła: — Cemuż nie mam płakać, gdy jak w więzieniu tu siedzieć muszę, a nie mogę się cieszyć przechadzką po łąkach i gajach, które m, niegdyś taka radość sprawiały.

Na to Kotek: — Dla czego nie możesz chodzić, owszem, kiedy tylko chcesz, to pójde z tobą. — Ale jabym chciała iść sama, bo wy mężowie nie rozumiecie naszych uczuć — odpowiedziała Krasława. — Gołębico moja — mówił z pochlebstwem Kotek, — chociaż przeciw zakazowi ojca, to daję ci wolność, tylko nie chodź daleko od domu. Ale przecież, jak wrócisz, będziesz mi więcej sprzyjała? — Potem zawołał odźwiernego, mówiąc doń, że Krasława może iść dzisiaj, gdzie jej się podoba.

Słyszał to też Spyra, kapłan i współtowarzysz Kotka. Gdy odeszła Krasława, rzekł tedy Spyra: — Znasz Kotku mojego szczygła, którego chowam w klatce. Prosił mnie wczoraj, żebym go tylko na chwileczkę puścił, obiecując, że zaraz powróci. Byłem tak głupi i wypuściłem ptaszynę, która bardzo nierada w klatce siedziała. Wyleciał ptaszek i usiadł na gałązce. Za chwilę wołałem go, i cóż myślisz, powrócił szczygieł? —

Głupcze! — odpowiada Kotek, — na coś go wypuszczał, ale cóż to ma znaczyć? — Spyra: — Prawda to, co moja matka zawsze mawiała, że kto się zakocha, oczy swoje zamaże, a rozum swój zawiąże. Widzę to i na tobie. Puść twego gołąbka, a już go więcej nie zobaczysz. Mam ja dla ciebie nieprzeplaconą nowinę, i możesz się jej dowiedzieć, ale moja matka zawsze mówiła: za darmo jest tylko śmierć. Co mi dasz, to ci powiem, gdzie i po co chce iść Krasława. — Żądał następnie Spyra, aby mu Kotek wyrobił u Borzaka kapłaństwo na Chełmku. Kotek ciekawy wiadomości, przyrzekł Spyrze spełnić jego życzenie. Wtedy oznajmił mu tenże, że Krasława idzie do Łędzina na łąkę olszową. — Kłamco! — wycisnął Kotek z gardła od zazdrości ciasnego, a potem chwycił Spyre za gardło, dusząc go z całej siły. Wywinał mu się Spyra wołając: — Cóż mi po kapłaństwie, jeżeli mnie zadusisz! Prawdę mówiła moja matka, że miłość rozum zawiąże, bo masz ty rozum, jeśli chcesz twego najlepszego przyjaciela za ważną nowinę udusić? — Kotek cały drżący usiadł na krześle, a potem zapytał Spyry, skąd ma tę wiadomość? Ten opowiedział mu, że ukryty za oknem słyszał rozmowę Krasławy z Radzicha. Długo je-

szcze rozmawiali, a nakoniec rzekł Kotek: — Zamilcz o wszystkim, a teraz idź do twej służby.

Długo myślał Kotek, coby wypadło uczynić, aż nakoniec postanowił wziąć z sobą niedźwiedzie Borzaka i puścić je na Lędzina. Znając się na różnych truciznach, czego się od swej matki, owej Czarnej, nauczył, wyszukał jadu z rośliny zwanej pokrzyk czyli wilcza jagoda. Wziął potem kawałek mięsa, napuścił go tym jadem, aby dać niedźwiedziom. Miał zaś ten jad taki skutek, że gdy się go choć parę kropel dało zwierzętom, to wpadały w wielką wściekłość i rzucały się na wszystko, co im w oczy popadło. Nie mógł się doczekać zachodu słońca, a więc wprzód jeszcze udał się z niedźwiedziami na łąkę, aby wykonać swój zamiar. Lędzin tymczasem siedząc w mieszkaniu Radzichy spostrzegł Kotka, idącego mimo chatki. Przeczuwając coś niedobrego, wysłał za nim Radzichę, ażeby uważała, gdzie się Kotek udaje. Ta uczyniwszy temu rozkazowi zadosyć, doniosła, że Kotek ukrył się z niedźwiedziami w gestwinie i że zapewne jaką zdradę knuje, bo i miecz goły ma przy sobie. Obawiając się Lędzin jakiej przygody, wysłał znowu Radzichę w tę stronę, skąd miała

przyjść Krasława, aby nie dozwoliła jej iść na łakę olszową.

XII.

Rozmowa kochanków.

Długim się zdawał czas Lędzinowi w chatce Radzichy, sto razy spoglądał na słońce, azali już nie zachodzi. Zdało mu się, że słońce w jednym miejscu stoi, jak gdyby było do nieba przybite. Niespokojne myśli trapiły Lędzina, dowiedziawszy się bowiem, że Krasława ma iść za Kotka, chciał temu przeszkodzić i jeśli można nawet uprowadzić dziewicę. Wciąż o niej tylko rozmyślał i zapytywał się sam siebie, przyjdzie czy nie przyjdzie? Nakoniec powziął zamiar, że jeżeli Krasława nie nadejdzie, wówczas z kilku wiernymi napadnie w nocy na dwór Borzaka, aby się od niej samej dowiedzieć, w czym jej być może pomocą.

Nastąpiła przerwa w jego rozmyślaniach, gdyż coś przeszło mimo okna. Lędzin zatrzymuje w sobie dech i słucha, a w tem drzwi się otwierają — i Krasława stoi na progu.

Stanęli oboje jak wryci, i długi czas ani słówka do siebie nie przemówili. Nakoniec pierwsza Krasława ze spuszczoneym na

ziemie wzrokiem rzekła: — Panie! czego żadasz odemnie? — Po tych słowach zarumieniła się na twarzy z jakiejś nieopisanej bojaźni. Lędzin skoczył ku niej, wołając: — Krasławo! czego żądam? oto, abyś była szczęśliwa! Czy jesteś szczęśliwa? — Krasława zamiast odpowiedzieć, zakryła twarz rękoma, płacząc mocno.

Widząc to dzieci Radzichy biegły do niej prosząc: — Krasławo nie płacz i nie bój się! Ten pan jest bardzo dobry, on ci nic złego nie uczyni. O! ile on nam darował dobrych rzeczy! — Krasława zmieszana, otarła łzy i zaczęła się pieścić z dziećmi. Lędzin nie spuścił z niej oczu, nie mógł się bowiem na nią napatrzyć. — Krasławo! — rzekł po chwili, — czy gniewasz się, że cię prosiłem, abyś tu przyszła? Ach! gdybyś nie była przyszła, to nie wiem, cobym był uczynił. Słyszę, że jesteś nieszczęśliwą, chce się o tem z własnych twych ust dowiedzieć, a przysięgam ci, że cię uwolnię, choćby się cały świat miał temu sprzeciwić. O mów, droga Krasławo, mów!

— Panie — odpowie na to dziewczica, nie z mojej przyczyny tu przybyłam, ale dla tego, że był byś nieszczęśliwym, gdybym nie przyszła. Powiedz tedy, czem mogę tobie pomódz?

— Kraslawo! jakże mogę być szczęśliwym, skoro ty jesteś nieszczęśliwa. Jeśli mnie tedy chcesz uszczęśliwić, oznajmij mi, jak i czem cię mogę wybawić!

— Panie — rzekła dziewczica z głębokiem westchnieniem, — jest to rzeczą niepodobną. Ojciec mój pragnie, abym wzięła za męża kapłana Kotka. Cóż poradzisz przeciw temu, kiedy, jak ojciec mówi, jesteś jego największym nieprzyjacielem. Ale powiedz, czy to jest prawda, że jesteś nieprzyjacielem mego ojca?

— Nie jestem żadnego człowieka nieprzyjacielem, a tem więcej twego ojca, — odpowiedział Lędzin, — ale nienawidzę wiary w nieżywe bogi.

— Czybyś był chrześcijaninem, ale to niepodobna, bo chrześcijanie są złymi ludźmi.

— Kraslawo! — rzecze Lędzin, — w rzeczy samej jestem chrześcijaninem. O gdybyś знаła wiary chrześcijańską, to byś nie wierzyła tym powieściom, które o niej zmyślono. — Krasława spoglądała zdziwiona na Lędzina i już wrócić się chciała do domu, jednakże pragnąc się nieco dowiedzieć o chrześcijańskiej wierze, w te po krótkiej chwili odezwała się słowa: — Panie! powiedz mi, co to są za ludzie ci chrześcijanie?

— Są to najszlachetniejsi ludzie — odrzekł na to Lędzin. — Słuchaj, co ci o nich powiem. Chrześcijanie są przyjaciółmi każdego człowieka, wszystkich ludzi kochają jak braci. Miłość ich jest tak wielka, że nawet nieprzyjaciół swoich kochają, modlą się za nich i czynią im dobrze, jeśli mogą. — Tu zaczął Lędzin wymownemi słowy opowiadać o Zbawicielu świata, i o błogich skutkach, jakie chrześcijaństwo wywiera. Gdy skończył, rzekła Krasława:

— Musi to być najlepsza wiara, a mój ojciec jej pewnie nie zna, gdyżby jej nie prześladował. Ach, naucz mego ojca tej wiary.

— Nieraz z nim o niej mówiłem, — odpowiedział Lędzin, — ale nie chce jej uznać, a nawet mnie prześladowuje. — Krasława chciała odpowiedzieć, gdy w tem nadbiegła Radzicha donosząc, że z łąki olszowej słyhać jakieś krzyki człowieka, wołającego o pomoc. Był to Kotek targany od niedźwiedzi. Zwierzęta te bowiem zjadłszy mięso jadem zatrute, rzuciły się na Kotka, a tak spełniło się na nim przysłowie: Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada. Lędzin pochwycił za miecz i oszczep i czempredzej pobiegł ku łące olszowej, gdzie tymczasem zaszło co innego.

XIII.

Łąka olszowa.

Opuśćmy Kotka, odbierającego zapłatę za swój czyn zbrodniczy, a wróćmy do Czarnej studni, gdzie piorun ogłuszył Klemensa i pragnącą jego krwi zgraję. W kilka minut po tem uderzeniu piorunu obudził się Klemens. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje, dopiero rozpatrując się bliżej, spostrzegł najprzód czarne, jak smoła, ciało czarownicy, a dalej ciała Borzaka, podkapłanów i pacholków. Pod jałowcowym krzakiem leżał także wąż rozciągnięty. Przypomniał sobie Klemens niebezpieczeństwo, jakie mu groziło. Przepełniony wdzięcznością ku Bogu, który go tak cudownym prawdziwie wyratował sposobem, uklęknął i w szczerą, z głębi serca pochodzącą modlitwie, dziękował Ojcu niebieskiemu za to ocalenie życia. Potem wzięwszy miecz jednego sługi dla obrony przeciw dzikim zwierzętom, oddalił się z tego miejsca, polecając się Bożej Opatrzności.

Wkrótce po jego odejściu przyszedł także do przytomności Borzak. Zaczął on budzić towarzyszków i pacholków, ale ci spali snem twardym — może usnęli na wieki.

Z przerażeniem spoglądał na szkaradne ciało czarownicy, a przeląkł się wielce, nie widząc Klemensa. Ponieważ konie przestraszone urwały lejce i uciekły, więc Borzak, świadom tego miejsca, puścił się pieszo ku Piorunowej Górze. Postępując zwolna, rozmyślał nad ostatnimi wypadkami, a mianowicie nad owem uderzeniem pioruna. Czyżby to Bóg chrześcijański owym piorunem ocalił życie Klemensowi? ale nie to zapewne był tylko przypadek natury. — Takie myśli wiły się w głowie Borzaka, ale mimo wszelkich powatpiewań głos jakiś tajemny szeptał mu: porzuć twych bogów, a uwierz w Boga chrześcijańskiego, którego wyznaje Klemens.

Już był Borzak blisko łąki olszowej, gdy wtem posłyszysz naraz mruk niedźwiedzi i krzyk jakiegoś człowieka. Pośpieszył czempredzej w tę stronę, lecz jakiż go widok przeraził? — Niedźwiedzie targały ciało Kotka, który wreszczał w niebogłosy. Podskoczył na pomoc Borzak, wołając na niedźwiedzie: do nóg bestye, — ale te jadem rozpalone, zamiast usłuchać rozkazu, rzuciły się na niego. Wprawdzie Borzak powalił pierwszego niedźwiedzia, zadawszy mu cięcie mieczem, ale wtem drugi niedźwiedź uderzył go w pierś łapą tak, że Borzak upadł na ziemię.

W tej właśnie chwili przybył Klemens, który widząc Borzaka w niebezpieczeństwie, rzucił się z mieczem na niedźwiedzia. Lecz cięcie jego, osłabioną kierowane ręką, nie było śmiertelne, a niedźwiedź rozgniewany, ku niemu podskoczył. Byłby niechybnie Klemens życie utracił, o ile, że był wycieńczony trudami dnia tego, gdyby mu Opatrzność nie była zesłała na pomoc Lędzina, który oszczepem przebił rozjuszzone zwierzę. Z dała zbliżała się także Krasława z Radzichą. Jakżeż się przeraziła, widząc skrwawione ciało ojca. Załamała ręce i długi czas, blada jak posąg, słowa wymówić nie mogła, dopiero po kilku chwilach zaczęła głośno łkać i płakać. Pocięszył ją Klemens, gdyż obojętniejszy ranę, oznajmił, że Borzak może przyjść do siebie. Uszczęśliwiona córka zdjęła złoty naramiennik i ofiarowała Klemensowi. Ten nie przyjął daru, mówiąc, aby raczej prosiła Boga o zdrowie dla ojca. — Bogowie, przyjdźcie na pomoc memu ojcu a waszemu kapłanowi i wróćcie mu zdrowie, a złożę wam mnogie ofiary, — zawołała Krasława.

Potrząsnął głową Klemens, temi słowy się do dziewicy odzywając: — Darmo wołasz do martwych bogów, proś Boga jednego, prawdziwego, a modlitwa twoja będzie wy-

sluchana. — Naucz mnie więc Panie, jak się mam modlić, — mówiła Krasława. — Mów za mna — rzecze Klemens, — Boże jedyny, Ojcze nasz! ratuj ojca mego od zatracenia przez zasługi Jezusa Chrystusa, Syna Twego. Amen.

Zajęli się potem wszyscy przeniesieniem Borzaka do domu, aby się tam mógł z ran wyleczyć. Zaś na olszowej łące obok dwóch niedźwiedzi leżał nieżywy Kotek.

XIV.

Choroba i uzdrowienie Borzaka.

W kilka dni po tem zdarzeniu, które zaszło na łące olszowej, widzimy Klemensa, Lędzina i Krasławę, jak siedzą zasmuceni przy łożu, na którem spoczywał Borzak, ponosząc wielkie boleści wskutek ran przez niedźwiedzia mu zadanych. Pierwsze dwa dni leżał spokojnie, ale potem wpadł w gorączkę, podczas której rwał się z łóżka, prowadził różne rozmowy, w których wspominał Klemensa, Tojara, Raczkę, Czarną i t. d. Klemens i Krasława już sześć dni pielęgowali chorego z największą troskliwością, snu sobie nawet ujmując. Lędzin co dzień ich odwiedzał, aby pocieszać Krasławę i dowia-

dywać się o powodzeniu chorego. Najwięcej poświęcenia okazywał Klemens, a gdy się Lędzin i Krasława dziwili, dla czego on, nieznajomy, ma takie staranie o swym nieprzyjacielu, wtedy oświadczył Klemens, że czyni to tylko, czego wymaga Bóg i święta Wiara.

Klemens nie zaniedbał oświecić Lędzina i Krasławę w wierze chrześcijańskiej, bo aczkolwiek Lędzin bawiąc w Gnieźnie na dworze Bolesława Wielkiego, monarchy polskiego, który i nad Śląskiem panował, przyjął Chrzest św., to jednakże zbyt krótko tam bawiąc, nie mógł poznać dokładnie tajemnic Wiary św. Słowa Klemensa padały na serca słuchaczy, jak rosa na urodzajną niwę. Dla Krasławy były te nauki wielkiem dobrodziejstwem, bo serce jej było wielce stroskane i zasmucone z powodu choroby ojca.

Razu pewnego około północy opowiadał Klemens o cudach Zbawiciela, a mianowicie o wskrzeszeniu młodzieńca w Naim, czem tak wzruszył Lędzina i Krasławę, że łzy im jak groch po licach spływały. Nagle usłyszeli jakiś dziwny głos, który wydał chory Borzak. Poskoczyła ku niemu Krasława, wtem chory ryknawszy niehumanym głosem pochwycił ją mocno rekoma, aby ją ugryźć. Ledwie ode-

rwał Klemens Krasławę z rąk szalonego, a potem chwycił mocno Borzaka, który jak zwierz dziki rycząc, miotał się na łożu, gryząc własne wargi, okryte pianą. Strach przeraził przytomnych a mianowicie Krasławę. Zawołano służących, z pomocą których przywiązano Borzaka do łóżka powrozami. Narzekając Krasławę odprowadził Lędzin do jej pokoju, pragnąc ją pocieszyć. Borzak tymczasem rzucał się jak szalony, aż powrozy w ciało mu się wrzynały. Gdy wrócił Lędzin, wtedy rzekł do niego z cicha Klemens: — Panie, okropna choroba — wścieklizna opadowała nieszczęśliwego Borzaka. Nie rozpaczajmy jednak, gdyż Bóg jest wszechmocnym, a i my czyńmy, co w naszej mocy. Może znasz Panie robaczka, podobnego do chrząszcza, którego lud zowie maikiem. Jest to najskuteczniejsze lekarstwo na wściekliznę, o gdybyśmy go znaleźć mogli.

— Znam — odpowie Lędzin — tego robaka, ale cóż pocniemy, teraz już lato, a maik tylko wiosną się pokazuje. Jednakże będziemy szukać. — Jakoż zleciwszy pieczę nad chorym służbie, udali się na pole szukać maika, a i Lędzin rozkazał swym robotnikom szukać tego robaka. ale usiłowania ich były daremne.

Po odejściu Klemensa pogorszyła się choroba Borzaka. Najmniej bojaźni z otaczających łoża okazywał kapłan Spyra. Był to już człowiek, podeszły w leciech, najstarszy z kapłanów Piorunowej góry. Myślał on sobie w duchu: — Kotek jest rozszarpany, Borzak wkrótce wyzionie ducha, któż tedy, jeżeli nie ja, będzie następcą. Gdyby tylko jak najprędzej umarł. Może i Krasława, to ładne dziecko, mi się dostanie. Tak, tak, trzeba się więc o to postarać. — Myślał długo Spyra, coby wypadało uczynić, aż w końcu powziął piekielny zamiar uduszenia Borzaka. Zaczął tedy pracować nad uskutecznieniem tej strasznej myśli, udając niby litość nad cierpieniami jego. Opowiadał kapłanom i służbie, że kogo opanuje wścieklizna, ten musi umierać, bo takiego człowieka żąda Czernobóg na ofiarę. Dla tego też, kogo napadnie ta choroba, to go najlepiej udusić, aby się biedak dłużej nie męczył. Opowiadał następnie Spyra o gajowym, Okoniu, któremu takim sposobem odebrano życie, aby zakończyć jego bolesti. — Czemubyśmy, — mówił dalej Spyra, — i naszemu panu nie mieli ukrócić męczarni? A jeżeli myślicie że ta wścieklizna pochodzi od ran, zadanych przez niedźwiedzia, to jesteście w błędzie. Tu tkwi

coś innego. Kto zna tego cudzoziemca, który się mianuje Klemensem, he? Co on za jeden, skąd się wziął? Wiecie, co wam powiem, oto, że on jest wielkim czarownikiem. Chodzi on co rano pod lipę, gdzie reka robi różne znaki po twarzy, ramionach, potem bije się pięścią w piersi. Cóżby to było? oto czary. Tak, tak, Klemens ten oczarował dom cały. Czemu niedźwiedzie szły z Kotkiem jak psiaki, a potem się rzuciły na niego i na Borzaka? oto dla tego, bo były oczarowane. A i teraz czemu ten czarownik wyjechał w pole, zamiast pilnować chorego? Otóż wiecie co bracia, skróćmy mękę naszego dobrego pana i odbierzmy mu życie.

Mowa ta zyskała zezwolenie u towarzyszków Spyry. Naznoszono tedy kołder, szat, kozuchów, któremi okryli Borzaka, a potem się rzucili na łożę, chcąc go udusić. Właśnie w tej chwili przybiegła do drzwi Krasława, ale ponieważ były zamknięte, więc wejść nie mogła. Któż opíše rozpacz i boleść nieszczęśliwej córki, gdy jej jeden ze służby powiedział, że kapłani chcą uduszeniem skrócić cierpienia jej ojca! Biedna dziewczica uderza głową i rękoma w drzwi, chcąc je otworzyć, ale napróżno. Wtem wspomniała sobie na Zbawiciela, o którym słyszała od Klemensa.

Upadła więc na kolana, wołając z głośnym płaczem: — Jezu! którego czci Klemens, przybądź mi na pomoc, ześlij Klemensa na ratunek ojcu!

— Tu jestem, cóż się tu dzieje, — odezwał się głos za nią. Był to Klemens. — Panie! — rzecze dziewica, — ojca mego zabijają, ach ratuj go, ratuj. — Wtem nadszedł i Lędzin, a gdy na ich rozkaz drzwi nie otworzono, wtedy wysadzili je gwałtem. Co za okropny widok ich przeraził. Nie tracąc ani chwili czasu, nadludzką siłą roztrącili dusicieli, a potem zdjęli z Borzaka kołdry i okrycia. Leżał on siny, bez tchu, jakby nieżywy. Oblany był cały potem. Krasława na ten widok krzyknęła z wielkiego bólu, a Klemens tymczasem pomacał puls chorego. Po kilku chwilach oznajmił, że Borzak jeszcze żyje, przez co napełnił nadzieją serce stroskanej córki. Jakoż niedługo zaczął Borzak zwolna oddychać, a po małej chwili zasnął. Lędzin odjechał, gdyż już był wieczór, obiecując wrócić rano. Na naleganie Klemensa udała się i Krasława na spoczynek.

Został więc Klemens sam przy chorym, który spał mocno. Klemens upadł na kolana i w szczerzej modlitwie błagał u Boga łaski dla Borzaka. — Roże dobrotliwy! który

nie chcesz śmierci grzesznika, ale aby się nawrócił i żył, ach dopomóż mu do zdrowia, aby Cię poznał, uwierzył w Ciebie i sławił Imię Twoje. Boże wszechmogący, u którego wszystko jest podobnem, ratuj go, nie daj mu umrzeć w grzechach, błagam Cię o to, ja Twój niegodny służebnik. — Temi i podobnemi słowy modlił się Klemens, myśląc, że krom Boga nikt jego modlitwy nie słyszy, ale słyszał jeszcze kto inny, a był to Borzak, który się ocknął ze snu głębokiego. Powoli przypomniał sobie wszystko, lecz któż opisze jego uczucia na widok modlącego się zań Klemensa, tego Klemensa, którego on chciał otruć i zabić. A ten Klemens wyratował go z paszczy niedźwiedzia, a teraz oto modli się za niego. Nieokreślone, błogie uczucie i żal zarazem owładnął pierś Borzaka, zatwardziałe serce starego grzesznika stopniało pod tchem miłości Klemensa. Borzak się nawrócił, w duszy poślubił sobie, skoro tylko wyzdrowieje porzucić bałwany a uwierzyć w Boga, którego wyznaje Klemens. O jakież zwycięstwo odniosła miłość chrześcijańska! Miłość, to wielkie i potężne słowo, miłość Boga, ojczyzny, bliźnich dokazuje cudów.

Wtem weszła do pokoju Krasława, aby się dowiedzieć o zdrowiu ojca. Usłyszawszy,

że jest nadzieja ocalenia, nie posiadała się dobra córka z radości, pobięła tedy do łoża Borzaka. — Ach! drogi, kochany ojciec, kiedyż poznasz twą córkę? — Nie mógł już dłużej wytrzymać Borzak, otworzywszy tedy oczy i spojrzawszy na Klemensa i Krasławę, wyrzekł: — Moje kochane dzieci!

Radosny okrzyk wyrwał się z piersi uszczęśliwionej córki, rzuciła się na ojca, całując jego twarz i ręce, witając go najpiękniejszymi imionami; odciągnął ją Klemens, obawiając się, aby zbyt duża radość nie zaszkodziła Borzakowi. Na zapytanie Klemensa, czy mu jest lepiej, odrzekł Borzak cichym głosem, że mu jest dobrze. Wtem też i ranek zawitał, a niedługo wszedł Łędzin do pokoju. Zdziwił się wielce, widząc rozmawiającego Borzaka, chciał się tedy cofnąć, ale Borzak go przywołał, mówiąc: — Łędzinie! nie odchodź, dziś trzymam zgodę z całym światem. — Z radością zbliżył się Łędzin, a Krasława aż pokraśniała na twarzy, widząc dobre serce ojca dla miłego jej sercu.

Borzak pod opieką Klemensa przychodził co dzień więcej do zdrowia, nie tylko na ciele, ale i na duszy.

Nastaly szczęśliwe chwile dla Klemensa,

albowiem spełnił się cel gorących jego życzeń; największy i nazacietszy nieprzyjaciel chrześcijaństwa, Borzak, słuchał gorliwie jego nauk, leżąc na łożu otoczony Krasławą i Lędzinem. Klemens głosił im wymownemi usty naukę Chrystusa. Któż był szczęśliwszym od Krasławy i Lędzina? Mogli się widywać z sobą, a z postępowania Borzaka znać było, że wielce Lędzina polubił.

Sześć tygodni upłynęło, zanim Borzak mógł znowu powstać z łoża niemocy. Przez ten czas on i Krasława poznali zasady wiary chrześcijańskiej tak dalece, że Klemens uważał ich na zależycie przygotowanych do przyjęcia Chrztu świętego, przecież odłożono to jeszcze na później, gdyż Borzak pragnął wyrzec się swoich błędów uroczyście przed ludem w czasie zbliżających się świąt pogańskich, które obchodzono w końcu czerwca, aby swoim przykładem trwających w pogaństwie nakłonić do przyjęcia chrześcijaństwa. Nieraz napadały Borzaka różne wątpliwości, jak wogóle starych grzeszników, gdy się nawracają. Często zaczął wątpić o łasce Bożej, sądząc, że to jest niepodobieństwem, aby mu Bóg tyle grzechów odpuścił. Klemens umiał takie wątpliwości pokonywać,

mianowicie przykładami z Pisma świętego, jak n. p. o Maryi Magdalenie, o Szawle itp., a tak wstępowała ufność i nadzieja w serce Borzaka. Obawiał się też coprawda kapłanów i ludu, przecież postanowił nie ustraszyć się żadnemi przeciwnieństwami, owszem pragnął i życia w razie potrzeby nie szczędzić, aby tylko zmazać dawne przewinienia i przyczynić się choć maluczko do zaprowadzenia chrześcijaństwa.

XV.

Święto Sobótki.

Rok 1000-czny po narodzeniu Chrystusa był nadzwyczaj suchy, tak, że nawet jeziora i stawy powysychały. Stąd zanosilo się na wielki nieurodzaj, a zatem panowała z tego powodu wielka bojaźń między ludem. A że Górka Piorunowa szeroko i daleko słynęła, więc też na święto Sobótki około 21 czerwca obchodzone, zebrała się wielka liczba ludu, pragnąc uprosić u bogów deszcz, któryby sprawił obfite urodzaje. Już na trzy dni przed świętem wielkie tłumy ludu przy górze Piorunowej się zebrały. Nie odbywały się te pielgrzymki jedynie z pobożności, lecz i sprawy handlowe przyczyniały się niemało

do licznego zbiegowiska. Nie tylko mieszkańcy dzisiejszego Górnego Śląska, ale i Górale z Czech i Węgier dążyli do sławnej Górki. W celu składania ofiar i wymiany handlowej wieźli lub przynosili z sobą pielgrzymi kruszce, sól, tkaniny, skóry, miód, suszone mięso, a inni pędzili stada bydła, koni i owiec. Malowniczy to był widok, gdy wieczorem owe tłumy wznieciły sobie ogniska, a mianowicie ostatni wieczór, który to zwyczaj po dziś dzień jeszcze na Śląsku się dochował.

Nim nadszedł dzień święta, zgromadzeni przychodnie trudnili się wymianą handlową i składali bogom ofiary. Wieczorem zwykle schodził czas na pijatyce, bo już i wtenczas, choć nie gorzałka, ale miodek i piwo było znane. Pili jednak tylko mężczyźni, niesłychaną było bowiem u dawnych Słowian rzeczą, aby się kobieta upiła.*)

Zbliżył się nakoniec dzień uroczysty święta. Przeszło dwudziestu kapłanów przybyło z okolicy. Byli przybrani w białe płaszcze, biodra ich otaczały czarne pasy, a na

*) Nałóg ten bałwochwalski zachował się dotąd jeszcze pomiędzy ludem. Mimo związków wstrzemięźliwości jeszcze dotąd pijaństwo panuje między ludem. Nie chcę nic mówić o naszych niewiastach, tylko tę skromną czyniąc uwagę, że inaczej się często dzieje, aniżeli w pogańskich czasach.

głowach mieli wieńce z kwiatów i zboża. W takim stroju udali się przed dom Borzaka, gdzie zaczęli taniec na cześć bogów. Z początku kręcili się powoli, poczem wpadając w coraz większy zapał skakali, ile im tchu starczyło, wydając przytem różne okrzyki. Lecz jakżeż się kapłani przerazili! Już kończył się taniec, a tu nie widać Borzaka, który zawsze przy końcu tańców przychodził odbierać wieńce, aby je ofiarować bogom. Gdy go się nie mogli doczekać, a przytem byli też doskonale zmęczeni, wtedy Spyra dopełnił zwykłego obrzędu. Słońce tymczasem paliło niezmiernie, a ani jedna chmurka nie ukazała się na niebios błękitach, co trwożę nappełniło lud zgromadzony, który sądził, że kapłani uproszą deszcz u bogów. Spyra przemówił do tłumu, głosząc, że bogowie są zagniewani. — Za mało składacie ofiar, — grzmiał przeraźliwym głosem, — i cierpicie między sobą tę przekłętą nową wiarę, a więc mściwe bogi spuszczają na was rozliczne kary. Składajcie tedy hojne bogom objaty, aby deszczem nasze pola orzeźwili.

Lud począł się cisnąć z ofiarami, lecz jakżeż się zdziwił, gdy oto jakby z pod ziemi, niedaleko bożyszcz, jakiś maż się ukazał. Był to Klemens. Trzeba zaś wiedzieć, że

z Borzakowego mieszkania prowadził do Górki Piorunowej ganek, który się kończył otworem, położonym niedaleko posągów Prowego i Radegasta. Otóż Klemens narodziwszy się z Borzakiem, wyszedł z owego ganku, a Borzak został w otworze. Lud i kapłani przerazili się wielce; lud sądził, że to jakiś bóg wyszedł z ziemi, a kapłani byli mocno zdziwieni, skąd się tu wziął Klemens, gdyż tylko jeden Borzak miał klucze od drzwi podziemnych; wtedy odezwał się Klemens w te słowa:

— Daremne są wasze prośby, ofiary i narzekania do tych nieżywych bogów, które tak są martwe, że się ani z miejsca ruszyć nie mogą, a cóż dopiero deszcz wam mają sprowadzić. Jeśli chcecie dostąpić spełnienia waszych życzeń, wtedy uwierzcie w jednego Boga, który stworzył niebo i ziemię i proście Go, a on spełni wasze prośby.

Wtem krzyknie Spyra: — Nie wiercie tym słowom! to czarownik chrześcijański, który ma za nic nasze bogi, więc śmierć jemu.

Po tych słowach pędził Spyra ku Klemensowi. Ten rzekł do niego: — Upamiętaj się człowiecze, co czynisz? Jeśli te bogi posiadają rzeczywiście siłę, to czemuż mnie nie

skrusza i nie sprowadza deszczu. Ale próżne wasze ofiary!

Nie dał mu dalej mówić Spyra, ale porwawszy kamień, rzucił nim na Klemensa, a zawoławszy na kapłanów uderzył na niego.

Wtedy Borzak zawołał na Klemensa, aby się schronił przed kapłanami do ganku. Uczynił to Klemens, a Spyra zawołał: — Patrzcie! oto ziemia pochłoneła bluźnierce, Czarny bóg go ukarał, — (lud bowiem nie wiedział o owym ganku) — a teraz żywo składajcie ofiary na przebłaganie gniewu bogów.

Lud składał więc ofiary a kapłani pocieszali go nadzieją, że bogowie wkrótce dadzą się przebłagać. Po skończeniu obrzędów naradzili się kapłani co począć. Umówili się, że jedna ich część ma trzymać straż przy posągach, druga część miała się udać między tłumy, aby je podburzać na chrześcijan, zaś trzecia część miała się udać do Borzaka, aby im się wytłomaczył z dzisiejszego postępowania. Żaden z kapłanów nie chciał jednak dobrowolnie udać się do Borzaka, musiano więc rzucać losy. Wkrótce podług narady poszedł każdy w swą stronę, a kilku kapłanów ze Spyra na czele udało się do Borzaka.

XVI.

Postępy chrześcijaństwa.

Cóż się tymczasem działo w Gliwicach? Smutek osiadł w dworku Raczka, nadaremne były długi czas poszukiwania o Klemensie. Nakoniec dowiedział się Raczek, że u Borzaka przebywa jakiś sławny lekarz, imieniem Klemens. Pragnąc się dowiedzieć bliższych wiadomości, a jeżeli można uwolnić swego przyjaciela, udał się Raczek z kilkunastu jeźdźcami do Piorunowej Górki, i to w ów dzień pogańskiego święta. Właśnie co tylko Borzak i Klemens wrócili do mieszkania z owego podziemnego ganku, gdy wtem zaczęło silnie kołatać w bramę. Wyszedł Borzak z Klemensem, a gdy otwarli podwoje, spostrzegli Raczka. Ten ujrawszy Klemensa pełen radości rzucił mu się na szyję, nie mogąc od wielkiego wzruszenia ani słowa przemówić. Dopiero gdy po pierwszym wrażeniu nieco ochłonęli, zapytał Raczek: — Skąd się tu wzięłeś, panie Klemensie, i co tu porabiasz? — Dowiesz się o wszystkim, — rzecze Klemens, — proszę tylko dalej. — Borzak tymczasem zawstydział się wielce i dopiero po chwili odezwał się do Raczka: — Panie! przebacz, nadużyłem go-

ścianności, aby zgubić Klemensa. — Rzecze Klemens do Raczka: — Drogi panie, nie gniewaj się na niego, bo za łaską Boga pragnie się nawrócić i jeszcze innych nakłonić do przyjęcia chrześcijaństwa.

Raczek zaręczył, że nie czuje do Borzaka żadnego żalu, na znak więc zgody podał mu prawicę. Gdy wszyscy zasiedli swoje miejsca, wtedy opowiadał Raczek, jak się Gliwiczanie frasowali o Klemensa, aż ten dowiedziawszy się, że u Borzaka przebywa jakiś lekarz Klemens, czempredzej wyruszył do Piorunowej Górki. Klemens zaś opowiedział swoje przygody. Ożywiła się rozmowa, gdy przybył Łedzin. Wtem nadeszli kapłani pogańscy do Borzaka, aby go się zapytać, dla czego nie brał udziału w sprawowaniu ofiar. Spyra ułożył sobie ostrą przemowę, ale jakżeż się zdziwił, ujrzawszy tyle zbrojnych mężów. Trudno było wystąpić z pogrózkami, a tu jeszcze pyta go się Borzak ostrym głosem, czego żąda.

Zmieszał się nieborak Spyra, przeto ze spuszczonym ku ziemi wzrokiem rzekł: — chcielibyśmy z tobą pomówić na osobności.

— Wiem ja, — mówił Borzak, — pociście tu przyszli, oto chcecie się dowiedzieć, dla czego nie byłem dziś przy sprawowaniu ofiar.

— Gdy kapłani skinęli na to głowami, tak mówił

dalej: — Drodzy towarzysze! czemuż mam tać prawdę przed wami. Oznajmuję wam, że porzucam wiarę w bogi, a pragnę uwierzyć w Boga, którego wyznaje Klemens. Dość długo zwodziłem lud biedny, nakoniec przecież poznałem moje błędy. I wy porzućcie bałwochwalstwo, sami powiedzcie, czy to może być prawdziwa wiara, gdy trzeba lud oszukiwać, jak dotąd to czyniliśmy.

Kapłani nie wiedzieli, co na to odpowiedzieć. Wtem powstał Klemens i zaczął wymownemi słowy nauczać ich o jednym Bogu, o Zbawicielu, a mówił z takim zapalem, że kapłani uznali swe błędy, oświadczając chęć przyjęcia chrześcijaństwa. Przyczyniła się do tego najwięcej ta okoliczność, że Borzak, o którego mądrości bardzo wiele trzymali, chrześcijaństwo za prawdziwą wiarę uznawał. Borzak i Klemens pragnęli i resztę kapłanów oświecić, więc zastanawiali się nad sposobami, jakby się to dało uskutecznić.

Ofiarował Spyra swą pomoc do tego, poszedł tedy na pozór szukać kapłanów, ale w rzeczy samej chciał podburzyć lud i kapłanów na Borzaka. Nie chciało mu się bowiem porzucać wiary, która mu podawała wygodny sposób do życia, a miał przytem i nadzieję, że może na miejsce Borzaka będzie

pierwszym kapłanem. Zaczął Spyra skwapliwie szukać swych towarzyszków, znalazł ich. Coprawda nakoniec, ale cóż, wszyscy leżeli na ziemi bez przytomności, upiwszy się miodem. Jeden tylko Jakiemcz, kapłan z Urgowa, był mniej pijanym.

— Jak się masz? — zapytał go Spyra.

— Źle, — odpowiada Jakiemcz, — miodek co rok słabszy. Już wiadro wypilem, a jak ryba ogon, tak zimna mam jeszcze czuprynę.

— Dziękuj bogom, — rzecze Spyra, — że jesteś przy zdrowych zmysłach. Grozi nam bowiem wielkie niebezpieczeństwo. Borzak, któremu tak ufaliśmy, zdradził nas... — Nie dał mu dokończyć Jakiemcz, ale z całej siły potężną pięścią uderzył Spyre między oczy, tak, że ten w tej chwili powalił się na ziemię. Kopnął go jeszcze parę razy nogą Jakiemcz, mrucząc pod nosem: — Nie pojmuję, jak Borzak taką gadzinę może trzymać przy sobie. — Dość długo trwało, zanim powstał Spyra, macając się po twarzy, azali posiada wszystkie członki.

Udał się następnie do kapłanów, którzy przy bożyszczach straż trzymali, ale i ci byli pijani. Wtedy doniósł Spyra Borzakowi, że wszyscy jego towarzysze leżą pijani na ziemi.

XVII.

S k a r b.

Spyra wyszedłszy od Borzaka, nie szukał spoczynku, ale zaczął rozmyślać nad swą dolą i wogóle coby wypadało uczynić. Poznał, że już nie podtrzyma walącego się pogaństwa, chciał tedy przynajmniej zapewnić sobie spokojną przyszłość. — Otóż tyle lat pracowałem, — mówił sam do siebie, — w nadziei, że na starość będę miał pewny kawałek chleba, a tu widzę, inaczej się stanie. Ha! przecież jest skarb wspólny, wszakżeż i ja mam prawo do mojej części, więc ją sobie wziąć muszę, bo dobrowolnie nicbym nie dostał. Lecz sam nie wydobędę tego złota i srebra, jeżeli mi kto nie pomoże. Wiem już, oto Garba odźwierny nie odmówi mi pomocy. — Udał się więc do Garby, a po długiej naradzie poszli na szczyt Górki, gdzie stały posagi bożków. Po cichu, aby nie obudzić śpiących jeszcze z pijaństwa strażników, spuścili się otworem do podziemnego sklepienia, gdzie zapalili smolną pochodnię, aby im było jasno. Odszukali drzwi prowadzące do sklepu, w których były złożone skarby ofiarne, a że drzwi były zamknięte, więc wyważyli je drągiem żelaznym.

Wszedłszy do sklepu, stali kilka minut, jakby oślepieni na widok ogromnych skarbów. Wisiały tam na ścianach złote i srebrne naczynia, na ziemi leżały misy i talerze także srebrne i szczerozłote. Spyra wyszukał dwie małe skrzyneczki, bo te zawierały najwięcej bogactwa, a Garbie kazał wybrać, coby mu się podobało. Ten wziął dwa wielkie srebrne świeczniki, a że obie ręce miał zajęte, więc smolak niósł w ustach, lecz wnet go musiał wyrzucić, bo ogień palił go po nosie.

Wyszli znowu otworem, a widząc, że straż śpi mocno, udali się czempredzej do jeziora, gdzie złożyli swą zdobycz w krzakach. Powrócili jeszcze drugi raz do skarbcza, i mogli mieć już dosyć, ale chciwością powodowani udali się jeszcze raz trzeci.

— Bądź zdrowa Górko, — wołał Spyra, — i wy czarni bogowie, już was teraz więcej nie potrzebuje.

Ale tymczasem obudził się jeden z kapłanów, którzy straż trzymali, a widząc dwie postacie, wrzasnął z całego gardła: — kto tu!

Przełękli się złodzieje, więc uciekali co mogli, a Spyra uawet rzucił nowe naczynie, aby mu nie zawadzało. Podniósł je zbudzony kapłan, i poznał wnet, że należy do wspólnego skarbu. Zbudził więc towarzyszy, oznaj-

mując im, że złodzieje okradli skarbiec powszechny. Udali się więc w pogoń kapłani na wszystkie strony, ale Spyra i Garba dopadli już łodzi, powrzucałi w nią skarby i czemp prędzej odbili od brzegu. Robili potężnie wiosłami, bo z brzegu dochodziły ich groźne okrzyki. Chcieli popłynąć na drugą stronę, ale i tam słyszeli głosy ludzkie. Skierowali więc łódź na małą kępkę, gdzie się w krzakach ukryli, oczekując wieczora, aby w jakim bezpiecznem miejscu ukryć swą kosztowną zdobycz.

XVIII.

Spełniona prośba.

Zbliżył się drugi dzień święta. Jeszcze wszyscy spali, a Klemens już trawił czas na modlitwie, błagając Ojca Niebieskiego, aby mu użyczył błogosławieństwa do świętego dzieła.

Już przed świtaniem rozeszła się między tłumami wieść o zrabowaniu skarbcza. Dowiedziawszy się o tem Borzak, pośpieszył do podziemnego ganku, gdzie się naocznie o kradzieży przekonał. Kapłani, którzy pilnowali skarbu, drżeli jak listki osikowe, ale któż opisze ich radość, gdy Borzak przemówił do

nich łagodnym głosem: — Cóż się lekacie. Jakie nabycie, takie pozbycie, gdyż niesprawiedliwie, bo oszukaństwem te skarby zgromadziliśmy. Ale gdzież Spyra?

Nadaremnie go szukano, na niego więc też i na Garbę padło podejrzenie, że oni skarb okradli.

Gdy słońce zaczęło wschodzić, lud zgromadził się przy posagach. Wkrótce też nadeszli kapłani, ale nie uczynili zwykłego pokłonu przed posagami, oznajmując ludowi, że wszelkie ofiary są daremne, gdyż bogowie nie mogą dopomódz.

— Czemuż nie, któż nas wysłucha, kto nam dopomoże — te i podobne okrzyki słychać było między ludem, ale ucichły nagle, gdy znowu, jak wczoraj, Klemens z podziemnego ganku wystąpił. Pobożny ten kapłan Chrystusów spojrzał ku niebu, raz jeszcze o pomoc błagając, a potem w te się do ludu odezwał słowa:

— Bracia kochani! Zaiste braćmi was mogę nazywać, bo i ja jestem jednego z wami pochodzenia i w moich żyłach płynie krew słowiańska, i moi rodzice należeli do szczepu Polan. Bóg, Stwórca nieba i ziemi, o którym wam już wczoraj mówiłem, posłał mnie do was, abym wam zwiastował prawdziwą wia-

rę. Próżne wasze ofiary, wasze błagania do tych nieżywych bałwanów, jeden jest tylko Bóg sprawiedliwy i dobry. Wszak i wasza wiara naucza, że przyjdzie dzień sądu, i cóż wam wtedy pomoga te bożyszcza? Uwierzcie tedy w jednego Boga, a On będzie dla was miłosiernym sędzią w dzień sądu. Jeżeli zaś trwać będziecie w bałwochwalstwie, wtedy czekać was będą straszne kary za życia i po śmierci. I na cóż kłaniacie się bożkom, gdy już większa część naszego narodu od lat czterdziestu przyjęła chrześcijaństwo. W Gnieźnie, Kruszwicy, Poznaniu, Smogorzewie wznoszą się świątynie jednego Boga. Porzućcie tedy bałwochwalstwo, a naśladujcie przykład waszych braci nad Wartą i Wisłą.

Przestał na chwilę Klemens, a wtedy zawołał Promny, ojciec Łędzina, który dotąd trwał w pogaństwie: — Ale gdzież jest Borzak, czemuż go tu nie widać, cóż on sądzi o tej nowej wierze?

Wnet zjawił się Borzak, a wszystek lud zwrócił ku niemu swe oczy, pełen oczekiwania, co powie ten najstarszy kapłan pogański. Zapytał go Promny, czy to prawda, co głosi • nieznajomy.

Na to odrzekł Borzak: — Zaświadczam wam, że Klemens jest posłańcem Boga prawdzi-

wego, jego więc słuchajcie. — Potem zaczął Borzak opowiadać o Klemensie, jak on chciał Klemensa otruć, zabić, a Klemens mimo to uratował mu życie. Łzy rozczulenia płynęły po licach słuchaczów, a gdy Borzak opowiadał o kapłanach, którzy go chcieli zadusić, wtedy lud zaczął miotać na nich przekleństwa. Niektórzy z tych, co pragnęli Borzaka uśmiercić, przelekli się wielce, obawiając się kary za ten czyn zbrodniczy. Przy końcu swej mowy padł Borzak na kolana, dziękując Bogu, że mu dozwolił poznać świętą, prawdziwą wiarę chrześcijańską.

Lud silnie był wzruszony, atoli nie tak to łatwo przełamać zastarzałe przesady i nawyknięcia, tak też i tu nie wszyscy zaraz uwierzyli. Powstał więc jeden z wątpiących i tak przemówił: — Bądźcie ostrożni, nie wierzcie słowom cudzoziemca, bo słyszałem, że to jest wielki czarownik, i dla tego zapewne oczarował nam Borzaka. Ale jeżeli to prawda, co on mówi, to niech nam deszcz sprowadzi, a wtedy uwierzymy jego słowom.

„Deszczu, deszczu!“ wrzeszczał lud wszystkim — niech nam deszcz sprowadzi, a uwierzymy.

Słyszając to Klemens, padł na kolana i tak zaczął się modlić: — Boże! nieskończonej miłości, wejrzyj na lud ten biedny i oświeć jego

serca, aby w Ciebie uwierzył. Wiem ja, że o co Cię prosimy w imię Syna Twego, to spełnisz, więc też wysłuchaj prośbę niegodnego Twego sługi, który błaga o nawrócenie braci swoich. A jeżeli się to zgadza z Twoją wola, Boże wiekuisty, to zmiłuj się nad Twym ludem i spuść deszcz pożywny na suche pola. Ale nie nasza, lecz Twoja wola niech się stanie. Boże wysłuchaj nas przez Syna Twego Jezusa Chrystusa, któremu niech będzie cześć i chwała na wieki wieków. Amen.

Wraz Klemensem modlili się z głębi serca Borzak i inni na pół już nawróceni kapłani, także Raczek i Gliwiczanie, a nawet i lud modlił się, jak umiał, z głębi serca. Tak wszyscy byli w modłach pogrążeni, że nie spostrzegli przybycia Dobrosławy, małżonki Raczka, która ze swym synaczkiem Mieczysławem i znacznym oddziałem Gliwiczian przybyła się dowiedzieć, co się stało z mężem i Klemensem. Trafiła właśnie na modlitwę, uknęła tedy łącząc swe prośby z prośbami Klemensa i ludu.

Jeszcze trwały ciche szepty modlitw, gdy wtem rozległ się łoskot dalekiego grzmotu, a wnet na niebie ukazała się czarna, gęsta chmura. Radość i bojaźń osiadła w sercach ludu.

— Ach! prawdziwym jest Bóg Klemensa, oto zbliża się moc jego, aby nas za grzechy ukarała.

Jeden tylko Klemens był bez bojaźni, a serce jego pełne było niebieskiej radości. Widząc przestrach ludu, zawołał głosem wielkim: — Padajcie na kolana i módlcie się; Boże Wszechmogący zmiłuj się nad nami! — Lud powtarzał pełen skruchy słowa modlitwy. Wtem i deszcz rzesisty zaczął padać, ale lud z ziemi nie powstawał. Dopiero gdy Klemens zawezwał: — Dziękujcie Bogu za miłosierdzie Jego! — i rzekł, aby się rozeszli i nazajutrz przyszedli, wtedy każdy szukał schronienia przed nawałnicą. Deszcz padał bez przerwy dzień i noc całą aż do rana nazajutrz.

Cóż mówić o radości spotkania, gdy Dobrosława i Mieczuś zobaczyli Klemensa? Słowem, wesele panowało we dworze Borzaka i w chatkach na okół Górki Piorunowej. Wszyscy jednozgodnie przyznali, że dzień ten należał do najszcześniejszych w ich życiu.

Dwie tylko osoby nie radowały się z deszczu; był to Spyra i Garba, ach! ci byli bardzo nieszczęśliwymi, bo deszcz, który dla innych był błogosławieństwem, dla nich stał się zgubą. We dnie obawiali się opuścić

swoją kryjówkę, a w nocy, choćby chcieli, nie mogli, bo nadzwyczaj było ciemno. Na nieszczęście zaczęła się woda lać do łódki, a tu deszcz pada coraz rześistszy. Zaczęli wylewać wodę srebrnemi i złotemi naczyniami, ale nic to nie pomogło, wody coraz więcej przybywało, a wtem i wiatr powstał niezmierny, wskutek czego łódka wypłynęła na rozhukane fale jeziora. Wtedy strach opanował zbrodniarzy; poznali, że to kara za popełnioną kradzież. Garba w rozpaczę przeklinał Spyre, aż w końcu pochwycił go za ramiona, pragnąc się pomścić. Zaczęła się zacięta bójka, wtem łódka się przewróciła, a Spyra i Garba wpadli do wody, gdzie wkrótce utoneli. Taki koniec spotkał tych niesumiennych ludzi. Skarby także zatonięły, i do dnia dzisiejszego na dnie jeziora czekają, żeby je kto wydźwignął. Trudno to bez wątpienia, bo woda przez długie wieki zapewne wiele ziemi na skarby naniosła. Jednakowoż dla ciekawych przypomnieć się godzi, że w końcu wieku ośmnastego w tem miejscu, gdzie owo jezioro było, a gdzie się dziś bieruński i proszowski staw znajduje, w czasie wyławiania tych stawów znaleziono staroświeckie naczynie złote i misę srebrną dziwnej formy.

XIX.

Zwycięstwo Krzyża Chrystusowego.

Deszcz ów tyle pożądaný padał dzień i noc całą. Nazajutrz gdy podług zwyczaju wstał Klemens o wschodzie słońca, aby się modlić, ujrzał wszędzie naokoło wodę, tak że nikt z ludu, choćby chciał, nie mógł się oddalić. Przyroda całą zmieniła się do niepoznania wskutek orzeźwiającego deszczu. Niebo się wypogodziło, a słońce łagodnemi promieniami oświeciło ziemię. Ptaszęta nuciły wesoło na cześć Stwórcy, zwiędłe rośliny, trawki, drzewa, zdało się, jakby odżyły. Słowem, wszędzie gdzieś spojrzeł, panował pokój i wesele. Ale daleka większa radość zamieszkała w sercach zgromadzonego ludu, który z niecierpliwością oczekiwał chwili, aby usłyszeć zbawienne nauki Klemensa. Ten niezmordowany apostoł nie szczędził też niczego, aby oświecić lud w wierze chrześcijańskiej. Sześć dni opowiadał Klemens słowo Boże, i to z takim skutkiem, że wszyscy zgromadzeni prosili o Chrzest św. Widocznie Bóg błogosławił pracy młodego kapłana.

Bożkowie już byli strąceni ze szczytu Górki Piorunowej, a na tem miejscu wznosił się piękny namiot z drogiego płótna, w któ-

rym stał mały, skromny ołtarzyk, z srebrnym krzyżykiem i czterema świecami ozdobiony. Wszystkie sprzety, służby Bożej się ty-czące, kazał Klemens sprowadzić z Gliwic, gdzie w osobnej izbie u Raczka były scho-wane.

Nadszedł dzień siódmy, niedziela, w któ-rym to dniu chciał Klemens ochrzcić nowo-nawróconych. Jakoż najprzód rano odprawił najświętszą Ofiarę, przy której mu usługował Mieczuś, synaczek Raczka. Potem miał Kle-mens kazanie, którem tak wzruszył do głębi serca słuchaczów, że wszyscy rzewnie płakali.

Tkliwa była ta chwila, gdy się zapytał Klemens, czy się odrzekają bałwochwalstwa, czarta i pychy jego? Czy serdecznie żałują za popełnione grzechy, czy obiecują poprawę życia, czy pragną Chrztu świętego? Wszystek lud za każdym pytaniem dawał odpo-wiedzi chętne, świadczące o gorącej chęci przyjęcia jak najprędzej Chrztu świętego. Podczas kazania wytrysła przy Klemensie woda z ziemi i płynęła wesoło z Górki je-ziora. Zdumienie niemałe opanowało wszyst-kich, a gdy Klemens zawołał: — Przybliżcie się do świętej wody, która was obmyje z wszystkich grzechów, abyście się stali czy-stymi, jak aniołowie w niebie, — wtedy wszy-

scy w największej pokorze zbliżali się do źródła z łzami w oczach. Najprzód odebrał Borzak Chrzest święty, a potem Promny, Krasława i inni. Borzak na Chrzcie św. otrzymał imię Paweł, Promny Jan, a Krasława Anna. Raczek i jego małżonka byli świadkami tego obrzędu. Ochrzcił potem Klemens lud zgromadzony, w którego oczach świeciła się radość serdeczna. Po Chrzcie świętym Klemens jeszcze raz upominał do wytrwałości w wierze, dał błogosławieństwo i rozpuścił lud, który z wdzięcznością w sercu rozszedł się na wszystkie strony.

Tak więc resztki pogaństwa w naszej krainie zniknęły, a Krzyż Chrystusowy ostateczne odniósł zwycięstwo.

XX.

Ojciec poznaje straconego syna.

Po skończonem nabożeństwie udali się wszyscy do mieszkania Borzaka, gdzie ich czekała skromna uczta. Zasiedli zgromadzeni, rozmawiając wesoło. Rzekła tedy Krasława, a raczej Anna: — Pewnie Klemens jest aniołem, którego Bóg zesłał dla naszego zbawienia.

Na to odezwał się Klemens: — Proszę cie Anno, nie przyrównuj mnie niegodnego do świętych Aniołów. Jestem z grzesznych urodzony rodziców, których nawet nie znałem i o których tyle wiem tylko, że ojciec był poganinem, a matka chrześcijańką. Ale nie wiem, czy żyją jeszcze, czy też w grobach spoczywają.

Oznajmienie to wzbudziło między przytomnemi wielkie zajęcie, co widząc Klemens, tak dalej opowiadać zaczął: — Jakby w mgle tylko przypominam sobie moje lata dziecinne. Zostawałem z początku pod opieką św. Wojciecha który mnie wyratował z rąk zbójców, a następnie oddał w opiekę cesarza Ottona III. Ponieważ nie wiedziano, czy z pogańskich lub chrześcijańskich pochodzę rodziców, więc ochrzczono mnie i dano mi imię Klemensa. Później w szkołach klasztornych w Dziewinie, szesnaście lub siedmnaście lat mając, poznałem się bliżej z jednym z mych współuczni nazwiskiem Jerzy z Wielkopolski. W wolnym czasie, gdy inni nasi towarzysze bawili się wesoło, on często rozmawiał ze mną o rodzinie i ojczyźnie swojej. Uskarżał się, że go nikt w Dziewinie nie rozumie, bo w jego ojczyźnie innym mówią językiem. Razu jednego pytałem go z ciekawości, aby mi po-

wiedział parę słów w swym ojczystym języku, np. — mój kochany ojciec, moja droga matka. — Jakże się zadziwiłem, gdy słowa jego były mi znane. Rozmawialiśmy odtąd długo i często, a powoli nabrałem wprawy w mój rodzinny język. Poznaliśmy obaj, że należymy do jednego i tego samego narodu.

Mie mogę wam wyrazić, jak mi była miła mowa polska. Ćwiczyłem się w niej za pomocą Jerzego, bo nadzieja mi szeptała, że za pomocą ojczystego języka odkryje może moich rodziców. Przy pożegnaniu oddał mi arcybiskup list obrońcy mego św. Wojciecha. List ten dotąd przy sobie noszę, a i wam go przeczytam.

Jakoż wyjął Klemens z książki modlitewnej zwitek pergaminu, i tłómaczył z niego, co następuje, gdyż list ów był w łacińskim pisany języku, — Bogu w Trójcy świętej Jedynemu niech będzie cześć i chwała na wieki wieków. Amen. Ponieważ wybieram się w daleką podróż, a już może cię więcej Klemensie nie obaczę, więc chcę ci tu podać kilka wiadomości o twojem znalezieniu. Opowiadałem słowo Boże ziemi polskiej nad Odrą, w diecezyi smogorzewskiej. Podczas jednej z moich podróży spotkałem

w pewnym lesie zbójców, jak nacierali na człowieka, który stał pod dębem, broniąc się prawą ręką przeciw razom napastników, a lewą zasłaniając chłopczykę. W orszaku moim znajdowało się kilku wojowników, których mi dał na obronę Mieczysław, książę polski. Ci skoczyli na pomoc napadniętemu, co widząc zbójcy natychmiast uciekli. Ów człowiek atoli wkrótce życia dokonał, polecając tylko mej opiece małego chłopczykę. Był to jak się domyślałem sługa, a imię jego było Kanpak, a ty zaś mianowałeś się Bojomirem. Stało się to zaś w lesie niedaleko Gliwic, w polskiej krainie nad Odrą. Na twoich piersiach znajdowało się małe, złote pudełko, które wraz z niniejszem pismem odbierzesz...

Nie dał mu dalej czytać Borzak, ale pełen najwyższego zadziwienia i radości zawołał: — O bogi (zapomniał się, gdyż dopiero co przyjął Chrzest św.) syn mój Bojomir... którego straciłem!... — więcej od wielkiego wzruszenia nie zdołał wymówić. Po chwili dopiero, jakby w febrze zapytał, — Masz to złote pudełko?

Klemens sięgnął na piersi i wydobyl z pudełeczka złote serce, na którym błyszczał drogi kamień i podał Borzakowi. Ten

ujrzawszy go zawołał ze łzami: — Ach Boże dobrotliwy, to jest ów klejnot, który darowałem żonie, gdy zrodziła syna. O Boże! nie daj mi umrzeć od zbytnej radości! O Bojomirze, Klemensie, synu mój ukochany! — to były słowa, które wymawiał obejmując w uścisk Klemensa.

Kto zdoła opisać tę radosną chwilę poznania wzajemnego? Na próżno bym się silił słabem mem piórem choć w części dać obraz tej radości, jaką Borzak, Klemens i Anna (Krasława) byli napelnieni, wy tedy czytelnicy dopełnijcie w sercach waszych tego tkliwego obrazu.

Gdy już pierwsze wrażenie minęło, wtedy Klemens, a z nim wszyscy przytomni padli na kolana, powtarzając za nim następujące słowa modlitwy: — Boże w miłości nieograniczony! jakżeż Ci dziękować za łaskę, którą już nas w życiu doczesnem tak uszczęśliwiasz! Ach! dajże abyśmy cnota, świętobliwem życiem i modlitwą wdzięczność nasza zawsze Ci okazywali!

Tymczasem lotem błyskawicy rozeszła się naokoło wieść, że Borzak odzyskał syna, którego przed dwudziestu laty postradał. Wnet tedy ci, co jeszcze nie odeszli do swych domów, jako też mieszkańcy Piorunowej

Górki zbiegli się czemp prędzej przed dom Borzaka, weseląc się z tego zdarzenia, Przybył także rybak Lepa z żoną swoją Wanka, która chciała koniecznie widzieć się z Klemensem. Stało się zadość jej życzeniu. Wanka zapytała Klemensa, czy ma za uchem przyrodzone znamię brunatne, na kształt pierścienia? Anna przyskoczyła do brata i przypatrując się prawemu jego uchu, rzekła: — Tak jest, ale skąd to wiesz, Wanka?

Na to rzecze zapytana, zwracając się do Borzaka: — Prawdziwie, Klemens jest twoim synem. Dozwól panie, że ci opowiem rzeczy, które dotąd zamilczeć musiałam. Wkrótce po urodzeniu syna twego, gdy raz wyjechałeś na dłuższy czas do granic węgierskich, przybyło tu dwóch mężów, którzy prosili o gościnne przyjęcie. Zaprowadziłam ich do twej żony. Bawili tu oni dni kilka, uczając co dzień po kilka godzin żonę twoją, wielki Borzaku, i sługę Kanpaka. W końcu polali wodą podobnie jak to dziś uczynił Klemens, głowę matki, dziecięcia i Kanpaka. Wtedy to widziałam owo brunatne znamię. Mężowie ci pochodzili z Czech, skąd szli do Gniezna.

Skończyła Wanka, a wtedy odezwał się Borzak: — Teraz rozumiem, dla czego

żona moja nie chciała jeść mięsa ofiarnego, i dla czego mnie tak czule błagała, abym krzywdy nie wyrządzał chrześcijanom, teraz rozumiem słowa, które do mnie umierając mówiła. O droga żono! spełniło się, o co mnie w ostatniej godzinie życia błagałaś. Boże! jakżeż cudowne są drogi Twoje.

Wszyscy podziwiali Opatrzność Bożą, a w końcu tak się odezwał Raczek: — Uznawajmy i wielbijmy miłosierdzie Boże i miłość nieograniczoną ku nam Ojca, który jest w niebiesiech. Kto Mu wierny jest, ten szuka najprzód królestwa niebieskiego. Uczyniła to szlachetna małżonka Borzaka, a oto jakże cudownie Bóg się opiekował Klemensem, czyniąc go nawet wybrańcem, aby nawrócił ojca swego i przywiódł go do poznania chrześcijaństwa.

Na podobnych rozmowach upływał czas szybko, i ani się nie spostrzeżono, jak nadeszła północ. Udali się więc wszyscy na spoczynek.

Na drugi dzień zegnając się goście, a mianowicie Promny i Lędzin, przyrzekli, że będą często Górkę Piorunową odwiedzać. — Nie Piorunową, ale Klemensową będzie się oddtąd zwała ta górka, na cześć naszego nawróciciela, — rzekł Promny.

— Panie! — odrzekł Klemens, nie jestem godzien tego zaszczytu, ale niech będzie raczej ta górka tak nazwana na cześć mego patrona. On niech będzie też patronem kościoła, który tu chcemy wystawić. Stało się tak, a po dziś dzień ów pagórek słynie pod nazwą „Górki Klemensowej“.

XXI.

Pielgrzymka do Gniezna.

Na nowo nazwanej Górcie Klemensowej zbudował Klemens z pomocą Borzaka i Promnego kościółek drewniany na cześć Boga prawdziwego i swego patrona św. Klemensa, którego pamiątkę Kościół dnia 23 listopada obchodzi. Źródło owe, które się w dzień chrztu pokazało, kazał Klemens obmurować i wystawić nad nim ołtarz. Tu bardzo smaczna woda płynęła z poza ołtarza wązka przykopka do jeziora, będąc daleko i szeroko w wielkiem poważaniu, używano jej bowiem na lekarstwo dla ludzi i zwierząt.

Corocznie, jak dawniej poganie, tak później zgromadzał się lud chrześcijański, aby oddawać cześć jednemu, prawdziwemu Bogu. Niedaleko kościółka powstała wieś, która na pamiątkę Lędzina, syna Promnego, Lędzi-

nami została przezwaną. Wioska ta stała na Górcie Klemensowej przy kościółku aż do wojny trzydziestoletniej, w której ją Szwedzi spalili. Mieszkańcy po wojnie odbudowali wioskę nieco dalej, gdzie po dziś dzień Łędziny się wznoszą.

Nazwisko „Piorunowa Górka“ ustało, ale wioskę z drugiej strony góry przez długie czasy nazywano Piorun, a dopiero z czasem, jak się owa wioska przez przybudowanie rozszerzyła, a później nawet w miasteczko się zamieniła, wtedy też i nazwę inną dostała, bo dziś owe miasteczko zowie się Bieruniem.

Borzak czyli Paweł dał Annę, córkę swoją, w małżeństwo Ledzinowi i cieszył się długo ze szczęścia i miłości dzieci. Klemens za pozwoleniem biskupów smogorzewskich, Urbana i jego następcy Klemensa, kilka lat sprawował służbę Bożą przy kościółku w Łędzinach, ale zdrowia zupełnego nigdy nie miał. Może były tego przyczyną męki, które wycierpiał przy Czarnej studni. Klemens pragnął serdecznie odwiedzić grób św. Wojciecha, apostoła narodu polskiego i czeskiego, męczennika za św. wiarę, a swego wybawcy z rak zbójców. Ale sędziwy ojciec, siostra, Łędzin, a nadewszystko lud przywiązany nie chciał go puścić od siebie, zwłaszcza, że pielgrzymka

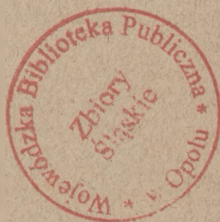
w tych czasach była bardzo niebezpieczna, a Klemens był chorowitym. Umyślił tedy potajemnie odejść.

W pierwszą niedzielę po świętej Trójcy miał kazanie tak tkliwe, że wszyscy słuchacze do łez się rozrzewnili. Ostatni raz słyszał go lud wierny, bo po nabożeństwie udał się potajemnie, napisawszy kilka słów pożegnania, w pielgrzymkę do grobu św. Wojciecha. Tęsknił za nim osierocony lud bez pasterza, tęskniła Anna za bratem, a nadewszystko ojciec sędziwy, ale daremne były ich tęsknoty, ich oczekiwania. W końcu nadeszła smutna wiadomość, a wtedy Paweł, ów dawny Borzak, kazał się przewieźć Lepie na górkę Orłową, gdzie to przed kilku laty pogańscy kapłani się naradzali, i tam pokutując za grzechy, dokonał żywota.

Zakończenie.

Tego samego roku przybył do Gniezna osłabiony pielgrzym ze stron dalekich. Modlił on się co dzień przy grobie św. Wojciecha. a modlił się tak szczerze i gorąco, że wszyscy przytomni budowali się tą pobożnością. Przyjął ów pielgrzym Sakramenta święte, a nawet w nocy nie opuszczał grobu świętego męczennika.

Nazajutrz rano, gdy się zbliżył lud do grobu, spostrzegł, że ów pielgrzym już nie żył, Ale i po śmierci zdawał się jeszcze modlić, bo ręce były złożone jakby do modlitwy, a na twarzy był widny pokój i radość niebiańska. Zapewne domyślasz się, czytelniku, że to był Klemens. Tak jest, był to ów niezmordowany krzewiciel wiary w naszej ojczyźnie, był to Klemens. Pochowano ciało jego w Gnieźnie przy kościele, w którym święty Wojciech spoczywa.



Spis rzeczy.

	Str.
Wstęp	3
I. Klemens	5
II. Bałwochwalstwo Słowian	12
III. Chatka pod górką Piorunową	15
IV. Narada kapłanów	19
V. W domu Borzaka	34
VI. Lędzin	41
VII. Zabiegi Borzaka	46
VIII. Opatrzność strzeże swych wybranych	50
IX. Napad w lesie	56
X. Czarna	60
XI. Krasława	65
XII. Rozmowa kochanków	69
XIII. Łąka olszowa	73
XIV. Choroba i uzdrowienie Borzaka	76
XV. Święto Sobótki	85
XVI. Postępy chrześcijaństwa	90
XVII. Skarb	94
XVIII. Spełniona prośba	96
XIX. Zwycięztwo Krzyża Chrystusowego	103
XX. Ojciec poznaje straconego syna	105
XXI. Pielgrzymka do Gniezna	112
Zakończenie	114

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

21283 Ś



001-021283-10-0